Cena zł 20.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V — Warszawa, 16 październik 1949 r. — Nr 41 (203)

CIV 9013

TREŚĆ NUMERU: K. Iłłakowiczówna — Róża i stokrotka; I. Kryłow — Trygamista; J. E. Płomieński — Czy rewolucja metodologiczna w badaniach historycznych?; H. Rostworowski — Ballada o starym wiatraku spod Arnheim; J. Kędzierski — Havre; K. Wołkowicz — Sztuka filmowa we Włoszech; J. P. Gawlik — „Dżolerzy"; Tydzień kulturalny; Czytelnik uważa, że...

Eugeniusz Paukszta

„Ziemia za warszawską miedzą" (II)

Sprawa Józefa Kasterskiego

Do Barcian dotarłem jeszcze autobusem. Ale stamtąd na Srokowo nie miałem już dogodnego połączenia. Trzeba było telepać się wiejską „kałamaszką". Gdy dystans nie rozrasta się w dziesiątki kilometrów, jazda rozklekotanym wozem wiejskim sprawia pewną przyjemność. Siedzi się na worku dobrze wypchanym słomą czy sianem, przyrzuconym z wierzchu zgrzebnym, mocno barwnym kilimkiem, ciało balansuje w prawo i lewo, woźnica pół obrócony do tyłu zabawia się opowiadaniem przeróżnych, prawdziwych „facecji"...

Szosa na tym odcinku jest ładna. Pną się tu potężnie w górę stare, gęsto sadzone brzozy, mieniące się pierwszą żółcią jesiennych liści w promieniach umykającego coraz bardziej za lasy słońca. Skołatane, wypaproszone z desek wiatraki na niskich wzgórkach ścielą się na polu długimi cieniami swych skrzydeł.

Gospodarz, który mnie wiezie, pochodzi z Nowogródczyzny. Zgadało się o tym i owym. Pytam mimochodem, czy słyszał coś o Mickiewiczu. Coś mu się tam kiedyś obiło w Nowogródku. Zjechali się wtedy różni panowie ze starostą na czele i jakieś tam „muzieje" otwierali w domku, gdzie mieszkał ponoć ten Mickiewicz. Domeczek marniński był, mizerny...

— No, a teraz, wiecie więcej?

— Wierszy pisał, najlepiej w Polsce, a potem we wojsku był w takiej armii żydowskiej... Był tu u nas odczyt o tym Mickiewiczu. Dziad mój to więcej może powiedzieć, on czytał jedną książkę Mickiewicza o tamtych stronach. Caleńka wierszem pisana...

Franciszek Zahuć zamyślił się coś tam nad tym sławnym Mickiewiczem. Ja zastanawiałem się nad wynikami roku mickiewiczowskiego. Rozmowa z Zahuciem nie była jedyną na ten temat. Osiągnię to już to, że każdy jednak przynajmniej coś słyszał o Mickiewiczu, coś mu się tam i siam o uszy obiło. Takich jednak, którzy by mogli powiedzieć coś więcej, dokładniej, nie znalazło się wielu w tych stronach. Efekty więc na odcinku wiejskim dosyć mizerne. Propaganda utworów poety nie trafiła znów jeszcze pod strzechę. Przyczyny? — może zbyt słabe uintensywnienie akcji, może nieumiejętność podejścia do psychiki chłopa, bo ja wiem... W każdym razie efekt akcji radiowej był niepomiernie większy niż suk cesy słowa pisanego. Spostrzeżenie, podkreślające dobitnie wagę eteru jako szerzyciela kultury na zapadłej wsi.

Nie rozmowa o Mickiewiczu była jednak tym, co wbiło w moją pamięć wyraźnie tą krępą, spowitą w gruby kożuch barani, nie co kanciastą sylwetę Zahucza. W pewnym momencie, gdyśmy przy zakręcie mijali zgrabną, niewielką kolonijkę chłopską, ku szosie szedł od niej wysoki, postawny, młody człowiek. Ze stroju można było łatwo wnosić o jego zabużańskim pochodzeniu. Skłonił się grzecznie Zahuciowi. Ten leniwie podniósł tylko rękę do czapki i burknął coś pod nosem. Oglądnąłem się za przechodniem. Postał chwilę przy drodze, a potem zawrócił znów ku wyzierającym z obfitego sadku budynkom mieszkalnym i gospodarczym.

— Ładne gospodarstwo — zagaiłem.

— Aha — niechętnie mruknął woźnica i zaraz pokrzyknął na konie. Wóz zaturkotał szybciej i zatrząsł przy tej okazji niemiłosiernie. Zahuć wyraźnie był czegoś niezadowolony. Obrócił się do mnie plecami i milczał czas dłuższy, raz po razu jeno podganiając swą szkapę. Niewątpliwie spotkany chłop był przyczyną jego dyshumoru.

Wreszcie jednak gadulska natura przemogła i Zahuć zwrócił się do mnie:

— Porządny przedtem był chłop. Aż coś jemu strzeliło i spiknął się tu z jedną Niemkinią, luterką. Pół roku jak pobrali się.. — splunął z niechęcią na bok drogi.

Słowo po słowie dowiedziałem się całej tej charakterystycznej historii. Józef Kasterski przyjechał na Mazury jeden z pierwszych. Gdy cała jego wieś rodzinna na Wileńszczyźnie debatowała jeszcze gorąco na temat — jechać czy nie jechać — on już szukał sobie gospodarstwa na mazurskich równinach. Wybór był jeszcze wtedy ogromny. Nic dziwnego, że Kasterski usadowił się doskonale, prędko uporał się z odłogami, zagospodarował na swych dziesięciu hektarach jak można najlepiej.

Dla przyjeżdżających z rodzinnych jego stron była to okazja nie lada, Kasterski bowiem pomagał im w osiedlu, służył radą, pomocą, jak to i przynależy swojakom, „siabrom" z jednej wioski pod Mejszagołą. Chłop był młody, przystojny, zamożny, pierwsza partia do swatania. Podsuwano mu też to jedną, to drugą z dziewcząt miejscowych, nieprędko się bowiem ludziska spostrzegli, że ciągnęło go w inną stronę. Ludności rodzimej w tym krańcu powiatu nie pozostało zbyt wiele. Kilkanaście rodzin zaledwie. Zabużanie nie czynili im krzywdy, nie wyzywali specjalnie od Niemców, ale też i trzymali się z daleka. Wyjątkiem był Kasterski. Niedługo, a ożenił się, właśnie z Mazurką. Tyle, że dziewczyna zmieniła wyznanie, przechodząc na katolicyzm. Odtąd cicha zaciętość sąsiadów otoczyła młodą parę. Powoli, a Kasterski został, podobnie jak Mazurzy, pozostawiony sam sobie. Uraza była mocna, repatrianci zaś twardzi i uparci. Tak się to ciągnie po dziś dzień..

Zahuć prawdopodobnie przejaskrawił nieco całą historię. Niechęć do Kasterskiego miała tu i podkład osobisty. Siostra mego woźnicy miała się bowiem mocno ku tamtemu...

Zjawisko jest charakterystyczne. Tu występuje może w formie bardziej skrajnej ze względu na zbyt małe przetasowanie ludności. Kilka wiosek podwileńskich upłasowało się bowiem obok siebie i na nowych terenach. Ale jako zjawisko, nie jest ono jednak czymś tak zupełnie odosobnionym. Stwierdźmy pewne rzeczy wyraźnie: Proces repolonizacji potoczył się na Ziemiach Odzyskanych o wiele szybciej, niż się tego mogli spodziewać najwięksi optymiści. Niejednokrotnie stawało się na Nadodrzu wobec wypadków po prostu niezrozumiałych: stosunki ludnościowe zmieniały się w ciągu paru miesięcy, samorzutnie, bez żadnych nacisków i presji od górnych, w niektórych powiatach tak całkowicie, że wprawiało to w najgłębszy podziw i zdumienie. Przypominam sobie chociażby początki akcji weryfikacyjnej na Opolszczyźnie. Jako członek Komisji odwoławczej w ramach wyjazdów terenowych stykałem się nieraz z wypadkami, wobec których zdawało się, że nie zostanie nic innego, jak tylko bezradnie opuścić ręce. Gdy wyrażałem te obawy Arce Bożkowi, zaśmiał się tylko i poradził mi wrócić w te strony za rok, dwa, a nie poznam ani ludzi ani terenu, silnie zniszczonego wtedy po działaniach wojennych. Arka Bożek, sam Opolanin, przywódca duchowy tej części Śląska za czasów niemieckich, znał psychikę polską jak mało kto inny. On się nie dziwił błyskawicznie zachodzącym przeobrażeniom...

Na Mazurach było podobnie. Z tym, że tu później znacznie, zaczęła się weryfikacja, dłużej nato miast trwał rabunek i szaber mienia ludności autochtonicznej. Tu się też więcej o wiele łez polało... A i ludności rdzennej było mniej. Krzywdzący musieli mieć wytłumaczenie. Łatwiej i bardziej przekonywająco brzmiało, że „to Niemcy, a nie żadne tam Polaki"... W wyniku, Mazury odsuwali się jak najdalej od przybyszów, nie rozróżniając, kto jest dobry, a kto nie, kto pragnie uczciwie współżyć, a kto tylko rabować. Nowoosiedleńcy podobnie dali się ująć tendencyjną gadką o rzekomej niemieckości Mazurów. Separowali się więc też od nich, jak mogli. Odbudowa gospodarcza, zlikwidowanie band rabunkowych, normowanie się życia, siłą

Wytyczne

* * *

Obchodzimy miesiąc przyjaźni polsko-radzieckiej. W całej Polsce w szkołach, w zakładach pracy, w związkach zawodowych prowadzona jest praca pogłębiająca znajomość życia i wszystkich krajów Związku Radzieckiego. Szereg imprez kulturalnych, festiwal filmów i teatralnych sztuk radzieckich umożliwia nam lepsze poznanie kulturalnej twórczości naszego wielkiego sąsiada. Bo miesiąc przyjaźni ma służyć pogłębieniu przyjaźni między naszymi narodami, lepszemu poznaniu się nawzajem. Dotychczasowa znajomość nowej kultury radzieckiej jak i wielkiej kultury rosyjskiej jest jeszcze ciągle w społeczeństwie polskim dość nikła.

Pisząc o miesiącu przyjaźni polsko-radzieckiej trzeba podkreślić jeszcze raz ogromną rolę polityczną spełnioną dzisiaj przez ZSRR w świecie i korzyści jakie naród polski z sojuszu politycznego ze swoim wielkim sąsiadem czerpie.

Trzeba podkreślić, że wokół ZSRR koncentrują się wysiłki wszystkich ludzi przeciwstawiających się wywołaniu nowej wojny światowej.

Trzeba przypomnieć jeszcze raz, że powojenne osiągnięcia polskiej państwowości i utrzymanie przez nas granicy nad Odrą i Nysą stało się wobec przeciwdziałania zachodnich krajów możliwe tylko i wyłącznie dzięki ścisłemu sojuszowi ze Związkiem Radzieckim. Świadomość tego jak i świadomość decydującej roli, jaką odegrał ZSRR w wyzwoleniu Polski z okupacji hitlerowskiej postawiła już w momencie odrodzenia się Państwa Polskiego na właściwej płaszczyźnie sojusz ze Związkiem Radzieckim.

Gdy dzisiaj Heuss i Adenauer, szefowie sztucznego państwa Niemiec Zachodnich, ośmielają w pierwszych swych publicznych enuncjacjach żądać odebrania Polsce jej ziem zachodnich, a niektórzy posłowie parlamentu w Bonn chcieliby powtórzyć hitlerowską operację na naszym kraju — to w tym samym czasie, w rocznicę wybuchu wojny, przewodniczący SED Wilhelm Pieck stwierdza wyraźnie w Warszawie: „Granica na Odrze i Nysie jest granicą przyjaźni i pokoju między narodem polskim i niemieckim".

Pieck reprezentuje te siły społeczne i polityczne, którym przewodzi ZSRR — Adenauer i Heuss reprezentują mocarstwa kapitalistyczne.

Miejsce Polski nie budzi wątpliwości.

DM 19/07

rzeczy musiało barierę wzajemnych niechęci osłabić. Dziś formy współżycia zarysowują się coraz wyraźniej. Wrogość zanika, zanika i nieufność, tyle że ta rozwiewa się o wiele wolniej. Stosunki stają się obojętne, dzieli je jednak spory jeszcze dystans od przyjaznych. Nie mówię tu o poszczególnych wypadkach, gdzie różnice jakiekolwiek zatarły się niemal całkowicie — są już bowiem i takie okolice.

Dopiero przy pełnym współżyciu, przy przyjaźni — mogą się obie grupy ludnościowe przenikać nawzajem, najlepiej poprzez małżeństwa. Tych małżeństw jest jeszcze bardzo niewiele. Przeważnie widzi się na Mazurach śluby pomiędzy członkami tych samych grup ludnościowych. Nie posiadam niestety bliższych danych statystycznych, ilustrujących cyfrowo to ciekawe zagadnienie. Na Śląsku jeszcze, dwa lata i rok temu, Instytut Śląski opracowywał specjalne ankiety, rozsyłane do urzędów stanu cywilnego i do kancelarii parafialnych, tyczące przynależności grupowej małżonków. Małżeństwa mieszane były wtedy i tam zjawiskiem stosunkowo rzadkim. Ostatnio ponoć sytuacja zmieniła się na Śląsku dosyć radykalnie. Ale, trzeba to uświadamiać wyraźnie, Śląsk i Warmia mają jeden plus, którego brak Mazurom — nie ma tam różnic wyznaniowych pomiędzy przybyszami a ludnością z dawna osiadłą. Na Mazurach problem ten, równolegle do braku całkowitej ufności wzajemnej jest, drugą zasadniczą przeszkodą infiltracji obu środowisk.

Próbowałem na Warmii i Mazurach na własną rękę przeprowadzić studium porównawcze. Oczywiście, wyniki są tylko cząstkowe, nie odzwierciedlają ściśle problemu, niemniej niejakie światło mogą nań rzucić. Na Warmii spotykałem parafie, w których procent małżeństw pomiędzy ludnością rodzimą a osiedleńczą sięgał 25 procent zawartych ślubów. (Dane te dotyczą tylko 1949 r.) Na Mazurach nigdzie nie spotkałem wyższego, jak plus minus 5 — 6.

Kasterski jest przykładem skrajnym. Stąd najbardziej może bijącym w oczy. Ale przez to uwypuklenie problemu daje wiele do myślenia.

Przede wszystkim — zadanie repolonizacji Nadodrza uznaliśmy słusznie za skończone. Ale to nie stanowi dowodu, że jeszcze przez pewien, może dłuższy okresu czasu, polityka administracyjna na Mazurach powinna kierować się także i specjalnymi kryteriami, od powiadającymi charakterowi terenu. Tego na ogół się nie spostrzega. Ludność rodzima i dziś jeszcze wymaga pewnego specjalnego traktowania, innego oddziaływania psychologicznego. Element napływowy potrzebuje koniecznie dalszego uświadamiania o równorzędności, i jeśli użyję nieco dziwnego terminu — o r ó w n o p o l s k o ś c i Mazurów. Nie może się utrwalać stosunek pewnej nadrzędności nie materialnej, nie umysłowej, ale w pewnym złagodzonym ujęciu, jakby rasowej. Tą wyższość swoją wyraźnie stara się akcentować przede wszystkim element napływowy z ziem Polski Centralnej. Repatrianci zabużańscy są bardziej potulni, spokojni, starający się sami nie właził nikomu w drogę i nie życzący czegoś podobnego również dla siebie.

Zagadnienie leży otwarte, dotąd całkowicie nie rozwiązane. Interes racji stanu na tych ziemiach każe zwrócić baczną uwagę na to, by procesu „asymilacyjnego" w stosunku do ludności rodzimej nie przerywać.

Sprawę, dającą się streścić przeciwstawieniem: ewangelicy — katolicy, poruszę przy innej okazji. Stanowić ona będzie niejako dopełnienie wniosków tu wysnuwanych nad zagadnieniem pełnego zbratania tych, co byli i tych, co przyszli.

Nazwałem dzisiejsze rozważania „sprawą Józefa Kasterskiego". Józef Kasterski jest bowiem niejako symbolem zagadnienia, przed trzema, czterema laty, zdawałoby się jeszcze, przynajmniej przez dobre dwa pokolenia nie do przezwyciężenia. Dziś przemierzyliśmy już grubo więcej niż połowę drogi. Wyzwiska od Niemców stały się nieaktualne. Straciły swój sens wobec zbadanej, doświadczonej w tym ostatnim okresie polskości Mazurów. Jeżeli jeszcze Zahuć zwymyśla Kasterską od Niemkiń, to nie dlatego, by chciał poddawać w wątpliwość jej polskość, ale po to, by zaakcentować różnicę w tej polskości. Jego polskość jest przecie inna, niż tamtej. Rozumowanie niewątpliwie ciekawe. Już od razu świadczy wyraźnie o jednym: problem zżywania się grup ludnościowych zmalał do spraw ściśle w e w n ę t r z n y c h. Dopóki pod słowem Niemiec nie ukrywano żadnej przenośni, dopóki Niemiec był Niemcem rzeczywiście, to dziś słowo to oznacza w ustach mieszkańca Mazurów tylko człowieka, wprawdzie czujące go po polsku, ale innego, innej rasy, innego gatunku. Zatarcie różnic z e w n ę t r z n y c h jest sukcesem olbrzymim, świadczącym o głębokim zmyśle rzeczywistości w psychice polskiej.

Przewartościowania psychiczne nie ustają. Obecnie daje się zauważyć, już w samej tylko terminologii językowej, dalszy etap wyrównywania się różnic, zanikania uprzedzeń, wzrastania zaufania między z dawna osiadłymi a przybyszami. Słowo Niemiec, pojmowane tylko jako treść rozróżniająca dwie grupy P o l a k ó w zaczyna powszechnie być zastępowane przez słowo — Mazur.

Nie wiem, czy trzy lata temu pokazałby mi ktoś dziesięciu repatriantów wiejskich, którzy użyliby waliby w ogóle słowa — Mazur — a jeżeli tak, by używali go, w pełni podkładając podeń właściwe pojęcie. Obecnie ma ono tą samą treść różniczkującą, co słowo — Warszawiak — (repatrianci zabużańscy ludność rodzimą nazywają — „Mazurami", osadników zaś z centrum Polski — „Warszawiakami").

— W tamtej wiosce żyją same Warsiawiaki, i jeszcze pare Mazurów. Dopiero w Grądkowie tak naród pomieszany jak pieluszka z owsem — repatryjanty z Mazurami, te znowuż z Warsiawiakami. I ot, jakości żyją, chwalić Boga...

Za Mikołajkami w uroczystościach dożynkowych wspólnie brali udział jedni i drudzy. Pieśni mazurskie mieszały się w swej twardej spółgłoskowej wymowie z „trajlowaniem" dawnych mieszkańców Łomży, Pułtuska czy Wawra. Po uroczystościach odbyła się wspólna zabawa, i o dziwo, nie doszło do żadnej bójki. Nikt nie patrzał krzywo na nikogo, że „do naszych dziewuch podłazi", te zaś nie wypatrywały na sali tylko „swoich" kawalerów. W 1946 roku jeszcze coś podobnego bez specjalnej urzędowej asysty byłoby nie do pomyślenia. Przede wszystkim zresztą Mazurzy w ogóle nie pokazaliby się na wspólnej „potańculce".

Powie ktoś, że to są drobiazgi. Ale właśnie one najlepiej świadczą o postępującym zżywaniu się różnych typów psychiki narodowej. Nie od rzeczy będzie chyba twierdzenie, że powrót Ziem Zachodnich w prawe granice oprócz korzyści politycznych, gospodarczych i innych, największe być może, przyniesie w dziedzinie wytworzenia nowej, pełnowartościowej psychiki narodowej. Zbyt ostatnio już grzęźliśmy w fałszywie pojmowanych „regionalizmach", w dawnym grzechem na nas ciążącej psychozie „dzielnicowości". Pochodzenie z tej czy innej dzielnicy Polski potrafiło czasem być zgoła decydującym o opinii danej jednostki. Na Zachodzie przemieszanie ludności z różnych stron kraju i zza granicy siłą faktu usuwać musi skostnienie dzielnicowych sympatii i antypatii. Wpływ jednych cech psychicznych określonych grup dzielnicowych na drugie jest silny i może dopiero położy kres nieszczęsnej spuściźnie porozbiorowej. Oczywiście, nowy typ spychiczny Polaka nie powstanie z dnia na dzień. W pełni wykrystalizowany nie będzie on niewątpliwie w pierwszym pokoleniu, może nawet i nie w drugim czy trzecim, ale będzie na pewno. Choćby przez to, że wysiłek wkładany w budowę Polski, w trud nawet codziennego bytowania, jest tak wielki, że musiał odświeżyć, odnowić, odmłodzić po prostu — wygasające rezerwuary siły psychicznej narodu.

To są zjawiska trudne do uchwycenia, do zarejestrowania na zimno. Pomyłek w ocenach może być wiele. Fakt pozostaje jednak faktem, że przewartościowania psychiki narodowej na Nadodrzu i Mazurach dają się zaobserwować wyraźnie i że kierunek tych przewartościowań jest pozytywny.

Jesienny zmrok zapada prędko. Rozmowa z Zahuciem nie jest bez płodna. Daje wiele tematu do myślenia. Czas mija powoli i dzień przetaczać się zaczyna ku zachodowi. Powietrze oziębia się silnie. Znad przeświecającego przez drzewa przydrożne jeziorka płynie ku drodze smętno - chłodny opar jesiennej mgły.

Na prawo wyłaniają się jakieś zabudowania. Koń parska żywiej i przyśpiesza biegu. Za chwilę Zahuć staje, zwraca się do mnie i oznajmia triumfalnym tonem:

— Ot i przyjechalim...

Nad domem wykwita solidny obłok dymu. Jakby symbol dobrych czasów, które płyną powoli nad udręczoną przez wieki ziemią mazurską...

Eugeniusz Paukszta

Stanisław Podlewski
„Przemarsz przez Piekło"
Dni zagłady Staromiejskiej dzielnicy w Warszawie
2 t. — 1.300 zł.
Wydawnictwo:
MIECZYSŁAW FUKSIEWICZ i S-ka
Warszawa, Nowogrodzka 37
do nabycia
we wszystkich księgarniach

Iwan Kryłow

Trygamista

Przekł. Kazimiery Iłłakowiczówny

Jakiś odważny grzesznik
prócz ślubnej żony sprawił sobie jeszcze dwie;
ktoś wścibski wieść do króla o tym zaraz śle
[a król surowy był i gdzieżby
miał wyrozumieć tak ponętny błąd!]
więc za kark trygamistę i nuż go pod sąd:
...który mu karę ma wymierzyć tak straszliwą,
by zląkł się każdy człek,
i sprawić, aby odtąd aż po wieków wiek
nikt nie śmiał więcej mieć, niż jedną żonę żywą.
...„A jeśli przekonamy się, że zbyt łagodny — sąd,
powiesić rozkażemy wszystkich sędziów w rząd".
Sąd spietrał się bez żartów,
ze strachu zimny pot aż spływa z czół;
już dobę radzą czwartą,
jaką by dla przestępcy każń wymyślić tu.
„Tysiące kaźni są, lecz próżno je ogłaszać,
bo żadna z nich od grzechu ludzi nie odstrasza".
Aż wreszcie Zeus sądowi śle natchnienie i
zbrodniarza z celi przed trybunał wloką,
aby bez dalszej zwłoki
oznajmić straszliwego treść wyroku,
którym oddają mu na rękę żony wszystkie trzy!
Zdumiał się zbożny lud, rzecz oczywista,
myślą: pościna teraz król sędziowskie łby,
lecz nie minęło pięciu dni
— sam się powiesił trygamista.
A koniec ów tak wielki wzbudził strach,
że w kraju tym od tego dnia
nikt o trygamii już nie myślał.

Kazimiera Iłłakowiczówna

Róża i stokrotka

Z cyklu „Kwiatowe Bajki"

Stokrotka zazdrościła róży
że ją królową kwiatów ludzkość zwie.
„Co w niej widzicie?" — rzecze. — „Chociaż kwiat ma duży,
gubi natychmiast płatki, kiedy rozwinięta,
od słońca ginie i deszcz jej nie służy.
Tymczasem przypatrzcie się mnie:
i na codzień i od święta
różowię się i bielę, i płatków krzepy i gęstości
może mi każdy zazdrościć.
A jeśli na ołtarzu Afrodycie
mnie postawicie
miast róży,
świeża zostanę o dziesięć dni dłużej..."
Usłuchano jej, i u skraju kamiennych bogini szat
na chłodnym białym marmurze
w złotej kruży
różowa, krzepka, bynajmniej nie wiotka,
szczęśliwy, uspokojony kwiat,
stanęła stokrotka.
I cóż? Tak dalece w wielkiej kruży na ołtarzu
zginął jej drobny, chociaż trwały, kształt
że nikt biednej nie zauważył
i wazon pusty się zdał.
Nie jest jednak zbyt smutna ta historia cała,
bo — jak życzliwy kapłan Afrodyty twierdził —
stokrotka ta szczęśliwie aż do śmierci
o tym, że jej nie było widać, wcale się nie dowiedziała.

Jerzy Eugeniusz Płomieński

Czy rewolucja metodologiczna w badaniach historycznych?

Pod redakcją dr St. Płoskiego zaczął wychodzić kwartalnik historyczny „Dzieje najnowsze". Zeszyt 3-ci tego kwartalnika, poświęconego badaniom najnowszych dziejów Polski, przynosi obok szeregu przyczynków, które będą miały dla historyka - badacza wartość materiałów pomocniczych oraz obok artykułów sprawozdawczych, również rozważania natury głównie metodologicznej, a częściowo historiozoficznej. Chodzi w nich o wydoskonalenie nowych narzędzi historycznego poznania w związku z potrzebą częściowego wycofania dotychczasowych metod naukowych, względnie ich przetworzenia na tle radykalnych zmian dziejowych, jakie przyniosła 2-ga wojna światowa.

Dyskusję na ten temat zapoczątkował prof. H. Wereszycki artykułem pt. „O problematykę najnowszej historii Polski". Wywołała ona kilka znamiennych odpowiedzi i ech w prasie naukowej. Odpowiedzią na postulaty teoretyczno - badawcze, a zarazem na nowe spojrzenie naukowe Wereszyckiego na dzieje polskie jest artykuł prof. St. Kieniewicza, ogłoszony w zeszycie 3—4-tym omawianego kwartalnika historycznego, artykuł pt. „Historia narodu czy historia państwa"? Oba te artykuły są szczególnie ważne w naszej współczesnej nauce historycznej. Poruszają bowiem wyjątkowo doniosłą problematykę polskich dziejów. Zasługują więc na to w zupełności, by je przeanalizować rzeczowo i rozpatrzyć, o ile słuszne są owe wyżej wzmiankowane, nowe postulaty badawcze.

Wereszycki wznawia w swoim artykule dyskusję, prowadzoną przez historyków polskich w okresie przedwojennego 20-lecia, którzy przesunęli punkt ciężkości badań na epokę wtedy najnowszą, tj. rok 1918-ty, uznając tę datę uzyskania pełnej niepodległości za przełomową w sensie nowego, ustalonego kursu dziejów. Doceniali oni również do pewnego stopnia wagę polskich dziejów porozbiorowych, jako etapów, które prowadziły do 2-giej niepodległości, natomiast znaczenie rozbiorów ograniczyli do roli raczej drugorzędnej.

Z tym jednostronnym punktem widzenia naszej przedwojennej historiografii, który wynikał z perspektywy optycznie mylnej, z jakiej ujmowała nasza międzywojenna historiografia polska 2 ostatnie wielki naszych dziejów, rozprawia się Wereszycki w wyżej wymienionym artykule. Uczony ten stara się wykazać w świetle najnowszych, brzemiennych w rewolucyjne wprost zmiany, wydarzeń historycznych, bezzasadność takiego teoretycznego ujmowania epok historycznych.

St. Kieniewicz uzupełniając częściowo oraz retuszując, gdzie niegdzie wywody Wereszyckiego (w artykule pt. „Historia narodu, czy historia państwa?") przyjmuje jego pogląd, że „najważniejszym wydarzeniem politycznym nowożytnej historii Polski będzie chyba u progu 18-go wieku przełom wojny północnej, od którego zaczyna się ów stan półzależności. Nie będą zaś (z politycznego punktu widzenia) przełomowymi datami lata 1795 i 1918, ani także 1939 i 1945" (str. 375).

Mimo woli nasuwa się pytanie, jaka jest celowość takiej hierarchizacji naukowej historycznych punktów przełomowych? Jakie obowiązywać mają tu sprawdziany mniejszej, czy większej — owej doniosłości? I — czy nie mamy znowu tu do czynienia ze sporną perspektywą optyczną wypadków, która budzi krytyczne zastrzeżenia? Dla H. Wereszyckiego sprawdzianu owych przełomów nie stanowią dramatyczne losy narodu, skazanego na długotrwałą bezdziejowość i życie w wysoce nienormalnych, spaczonych warunkach, narzuconych narodowi przez państwa zaborcze. Tym bardziej nie stanowi go historia państwa, żyjącego przeciez przez lwią część wieku 18-go w stanie półwasalizacji. Są nim natomiast — według niego — polityczne dzieje Europy ówczesnej. Z takiej perspektywy optycznie spornej, chociaż samo ujęcie zagadnienia jest niewątpliwie nowe i oryginalne, to, co było w odczuwaniu narodu i w jego przeżywaniu, najistotniejszą treścią historii Polski, schodzi na plan 2-gi, jako jeden z epizodów tylko — politycznych przesunięć w 18-wiecznej Europie. Autor przeszedł tu do porządku dziennego nad perspektywą narodową, (co uczyniła również nasza historiografia przedwojenna), z której kąta widzenia, np. rozbiory nie przestaną być arcyczułym punktem przełomowym, a losy narodu i państwa makrokosmosem, a nie jedynie drobnym wycinkiem z historii powszechnej.

Z podobnego założenia wychodząc atakuje Wereszycki również „mit wyjątkowości losów polskich", dostrzegając w nich raczej cechy pewnej typowości. Czy jednak w tej błyskotliwej próbie naukowej typizacji narodowych losów, która dla naszej głęboko wkorzenionej megalomanii narodowej będzie pewnego rodzaju zamachem nauki, nie pierwszym bynajmniej w polskiej historiografii, (krakowska szkoła historyczna tzw. „stańczykowska"), na „styl" naszej historii narodowej, badacz nie posuwa się za daleko w swojej postawie rewizjonistycznej? Argumenty jego wydają się bowiem nieco jednostronne. Zastrzeżenie podobne wysuwa słusznie Kieniewicz pisząc:

„Ale nie wpadajmy w przeciwną ostateczność i nie zamykajmy oczu na zjawiska niezaprzeczalnie jedyne w swoim rodzaju, takie jak podział Polski między 3 wielkie mocarstwa, jak międzynarodowe znaczenie sprawy polskiej w 19-tym wieku, jak „bezprzykładność" (którą autor przyznaje) naszych walk o wolność, wreszcie tak osobliwe zjawiska, jak Wielka Emigracja albo też rozbicie orientacji polskich w dobie I-szej wojny światowej". (str. 376 — 377).

Wereszycki atakuje jeszcze jeden mit, utrwalony w świadomości narodowej, mianowicie, że naczelną treścią polskich dziejów od połowy 18-go wieku była nieustająca walka o niepodległość polityczną. Jego zdaniem, przemiany gospodarczo - społeczne, naturalnie według pierwowzoru ówczesnej, europejskiej struktury życia gospodarczo-społecznego, były daleko ważniejsze od wolnościowych wysiłków narodowych. Trudno zaprzeczyć, że zmiany owe były w istocie w życiu narodu polskiego b. doniosłe.

Ale nie zapominajmy o tym, że czynnik polityczno - państwowy, którego wagi Wereszycki nie docenia należycie (niepodległość), determinuje w wysokim stopniu jakość owych zmian. Dlatego nie bardzo można się zgodzić również na pogląd pokrewny Kieniewicza, który pisze: „W takim szerszym ujęciu i z jeszcze jednym zastrzeżeniem, do którego wrócę za chwilę, gotów jestem podpisać się pod zdaniem, że ewolucja wewnętrzna narodu polskiego miała dla niego w tej dobie znaczenie bardziej doniosłe, aniżeli każdorazowy stopień jego samodzielności politycznej". (376 str.).

Brak jednak niepodległości prowadził nawet w związku z owymi zmianami gospodarczo - społecznymi do jaskrawych anomalij, które zapewne w normalnych warunkach politycznych nie przybrałyby tak jaskrawego charakteru. Jest to dostatecznie oczywiste, by nie podawać przykładów, jakie się cisną pod pióro.

Pewne wątpliwości wywołuje oryginalny zresztą pogląd Wereszyckiego, z którym polemizuje na tym tle Kieniewicz wysuwając wprawdzie argumenty, niepozbawione słuszności, ale nie pełne w pewnej mierze, podchodząc w ogóle do zagadnienia od strony wyłącznie polityczno - gospodarczej, bez uwzględnienia również kulturologicznego punktu widzenia. Wereszczycki mniema, że „tempo postępu" w Polsce było w okresie półniezależności — szybsze, niż w okresach pełnej niezależności. Stanowisko to trzeba uznać za połowiczne. Między wierszami podsuwa ono myśl, że stan półzależności politycznej bywał dodatni dla rozwoju kultury polskiej, na tle zaś obniżania przez autora współtwórczej doniosłości państwa w przemianach gospodarczo - społecznych narodu, ta niewyrażona w tekście, lecz mimo to narzucająca się na jego marginesie myśl, stanowi wzmocnienie akcentu drugoplanowości roli państwa w procesach gospodarczo - społecznych oraz kulturowych. Przeczą temu jednak liczne przykłady z terenu dziejów kultury. Niepodobna zaprzeczyć, że między czynnikiem politycznym, a przeobrażeniami gospodarczo - społecznymi i życiem kultury istnieją zazębienia przyczynowe. St. Kieniewicz ujmuje tę kwestię następująco:

„Przemiany gospodarczo - społeczne, zachodzące na naszych ziemiach niewątpliwie miały swe źródło poza naszymi granicami; wiązały się one ze światową rewolucją przemysłową, z problemem rynków zbytu, z kryzysami gospodarczymi oraz z wielkimi przewrotami politycznymi na zachodzie i wschodzie. Tym samym przemiany te nie zależały bezpośrednio od położenia politycznego Polski — i tu autor ma racje, twierdząc, że dokonywały się one „obok oscylacji między wolnością i niewolą". Jednakże każdorazowa sytuacja polityczna w Polsce miała wyraźny wpływ na recepcję odnośnych wzorów zewnętrznych. Zarówno czynnik rodzimy (państwowy, czy też społeczny), jak i czynnik obcy, działały zależnie od okoliczności, raz w sensie hamującym, raz przyśpieszającym postęp. Szybkość postępu w Polsce uważać można za wypadkową dwu sił niezależnych: ogólnoświatowego układu stosunków gospodarczo - politycznych oraz lokalnej postawy polskiego (względnie zaborczego) rządu i społeczeństwa". (str. 379).

I Wereszycki i Kieniewicz przeoczają w swoich uogólnieniach pewne pozorne paradoksy w życiu kultury. Znamy przecież okresy niewoli politycznej, w których narody ujarzmione przodują kulturalnie, promieniując ideami postępu na narody zwycięskie. Znane są między innymi, fakty kulturalnego podboju przez ujarzmioną Grecję — światowładnego mocarstwa rzymskiego, podobnego podboju przez ujarzmione Chiny — olbrzymiego, zwycięskiego mocarstwa Dżyngis - chanidów, tj. potomków Dżyngis - chana, wreszcie podboju całej kulturalnej Europy przez niewolne lub półzależne, rozbite politycznie i rozproszkowane, żyjące w bezustannym chaosie — Włochy renesansowe. Jeżeli dodamy do tych wymownych przykładów przykład romantyzmu polskiego, okresu najwyższego nasilenia kulturowego w Polsce, chociaż epoka romantyzmu polskiego zbiega się z polityczną niewolą narodu, to trzeba z tych faktów wysnuć właściwe wnioski, nieuwzględnione w cennych rozważaniach prof. prof. Wereszyckiego i Kieniewicza.

Oto owe spotęgowane w dobie niewoli potężne ogniska kulturotwórcze wyrażały w formach zastępczych, wbrew warunkom politycznym, na niwie kulturowej wyłącznie — przede wszystkim wolę dziejotwórczego życia narodów ujarzmionych. Wynika z tego dalej, że „tempo postępu", a zwłaszcza życie kultury nierzadko bywało uniezależnione od stanu politycznego życia narodu, co przyznaje Wereszycki, zapominając jednak o tym, że w latach niewoli staje się ono czasem zastępczą formą państwowości — moralnej. Zagadnienie to należy zresztą raczej do dziedziny filozofii kultury, niż do teoretycznych rozważań ściśle historycznych.

Poruszyłem tu tylko kilka punktów z pasjonujących zagadnieniowo artykułów prof. H. Wereszyckiego i prof. St. Kieniewicza, które powinny zainteresować nie tylko fachowe koła historyków, względnie metodologów i filozofów historii, lecz również intelektualistów polskich, spoufalonych z zagadnieniami historycznymi.

J. E. Płomieński

Henryk Rostworowski

Ballada o starym wiatraku spod Arnheim

Gdy w Polsce Krakus był i Wanda,
A może dawniej, kto ich znał?
Gdzieś hen pod Arnheim w Niderlandach
Na wzgórzu stary wiatrak stał.
Skrzydłami toczył się w przestworzach
Gdy dął silniejszy wiatr od morza,
A kiedy halny dmuchał z Tatr
Skrzydła kręciły się jak wiatr.

Mijały wieki, wszystko mija,
Heraklitowe „Panta rhei"
A on skrzydłami wciąż wywijał
I mąkę mełł swą, że aż hej!
Gdy spokojniejsze było morze,
Skrzydła się obracały gorzej,
Ale gdy halny dmuchał z Tatr
Wtenczas kręciły się jak wiatr.

Raz na ten wiatrak w Niderlandach
Hiszpański zaszarżował grand,
Wiatrak skrzydłami rozniósł granda
I nadział go na skrzydeł kant.
Sancho powstrzymać chciał wielmoża
Bo dmuchał wtenczas wiatr od morza
I pewnie halny szalał z Tatr,
Bo wiatrak kręcił się jak wiatr.

Później na żyznych wyrósł landach
Tulipanowo wonny sad.
Właśnie pod Arnheim w Niderlandach,
Gdzie wiatrak mąkę mełł od lat.
Wśród czerwonego kwiatów morza
Skrzydła kręciły się w przestworzach,
A kiedy halny powiał z Tatr,
Pył kwiatów w śmigi wkręcał wiatr.

Aż raz spod Arnheim stary wiatrak
Zdziwił się, może nawet zląkł,
Gdy tulipanów z chmur eskadra
Spadła na żyzne pola w krąg.
Skrzydła przestały ciąć przestworza,
Kamienie już nie mełły zboża,
Podczas gdy halny gdzieś aż z Tatr
Te kwiaty rozdął tak na wiatr.

Jęły opadać tulipany
Biało zrobiło się od płacht,
Gdzieniegdzie tylko zadumany
Powietrzny się kołysał jacht
A kiedy krwawy bój rozgorzał
Ów wiatrak dziwił się, że dożył
Tej chwili, że z dalekich Tatr
Słowa komendy przywiał wiatr.

Lecz kiedy już w bezładnych bandach
Uciekać począł wraży wróg,
Wiatrak spod Arnheim w Niderlandach
Legł w gruzach u rozstajnych dróg.
Skrzydła ucięte niby nożem
Znaczyły krzyżem to rozdroże,
Na którym odtąd wieje wiatr
Od płowej Wisły i od Tatr.

Kazimierz Wołkowicz

SZTUKA FILMOWA WE WŁOSZECH

Ukazanie się w parę lat po wojnie kilku pierwszych powojennych filmów włoskich w Polsce wywołało nie tylko bardzo pochlebne krytyki, ale spowodowało cały szereg artykułów, których autorzy entuzjazmując się osiągnięciami realizacji włoskiej wysnuwali cały szereg optymistycznych wniosków przepowiadając rewelacyjne wprost podniesienie poziomu artystycznego filmu zaalpejskiego. Czy mają słuszność czy się mylą pokaże przyszłość, jednak aby stworzyć sobie podstawy pod taki czy inny osąd perspektyw twórczości artystycznej, należy bardzo uważnie a nawet analitycznie rozpatrzyć historyczne koleje X Muzy na półwyspie Apenińskim. Aby uzyskać pewną określoną całość obejrzyjmy ją od samego zarania powstania filmu tj. od r. 1895.

PREKURSORZY SZTUKI FILMOWEJ

Filoteo Alberini w roku 1895 opatentował we Włoszech aparat do zdjęć i projekcji „widoków" na błonach filmowych. W kilka lat później tenże Alberini założył pierwszą włoską wytwórnię filmową późniejszy „Cines". Po dziesięciu latach fragmentarycznej produkcji o charakterze raczej kronikarsko - turystycznym ukazał się pierwszy film fabularny pt. „Historie Pierrota". Brak reżyserii oraz niedołężna interpretacja aktorska dowodziły kompletnej ignorancji i braku doświadczenia twórcy. Z tych powodów i następne filmy nie były lepsze. Realizatorzy popełniali błąd typowy dla pierwszych producentów — uważali, że to wszystko, co tylko jest związane z jakimś ruchem, może być tematem i podstawą filmu. Mimo tego udało im się stworzyć w filmie to, co później nazwano „montażem'. Był to mimowolny sukces. Również przypadkowo odkryli tzw. przenikanie obrazów. Scenariusze oczywiście były prymitywne i zawierały banalne historyjki o mocno naciąganej fabule.

Od pierwszych chwil wytwórczość filmowa nie była scentralizowana. Powstało prawie jednocześnie kilka wytwórni filmowych jak: Cines Rzym, Compania Ambrosia (Turyn) „Camerio et Milano" w Mediolanie i Pasquali et Italia".

Włochy posiadały wszelkie warunki pomyślnego rozwoju przemysłu sztuki filmowej, a więc piękne krajobrazy i miejscowości tonące większą część roku w słońcu, odpowiednie kapitały i taniego robotnika. Zalety techniczne i ekonomiczne sprawiły, iż początkujący przecież dopiero filmowcy włoscy od razu przystąpili do pracy nad „wielkimi filmami" nie licząc się z żadnymi okolicznościami. Zasadniczy ich błąd polegał na tym, że ufni we wspaniałą tradycję włoskiego teatru bezkrytycznie zastosowali kryteria teatralne do filmu, a ściślej mówiąc zahypnotyzowani operowym typem teatru włoskiego postanowili go przenieść na ekran.

Ponieważ film był podówczas nie my i nie było możliwości reprodukcji śpiewu — po prostu zastąpili go krzykliwą typowo południową gestykulacją i mimiką. Bogactwo krajobrazu, jak już wspominałem, dostarczyło niebywałych możliwości zmian dekoracji. Najgorsze jednak, że ze specyficznym zamiłowaniem do przepychu uruchomili nieprzebrane tłumy statystów. Dzięki temu film stał się wyolbrzymionym teatrem. Wskutek tego zachodziły dziwaczne niespodzianki dla realizatorów, gdyż ten „rozmach" zmieniał często charakter np. opery dramatycznej na komiczną.

Do roku 1910, mimo że technika zdjęć była ciągle primitywna, realizatorzy odważyli się „kręcić" tak ryzykowne tematy jak: Hamlet, Manon Lescaut, Dziewice z Babilonu, Łucja z Lamermooru, Attyllę, Messalinę i... Boską Komedię!

Jednocześnie rozwijał się typ dramatów ponurych i setnymentalnych. Wzorowano się w nich na typie dramatów d' Annunzia. Było to „Miłość i śmierć", „Fałszywe oskarżenie", „Losy jednego życia" itp.

Na horyzoncie filmu włoskiego ukazały się pierwsze gwiazdy aktorskie z Francescą Bertini, Giovanną Terribili i Vittorio Pianelli na czele.

W stylu operowo - historycznym zrealizowano film „monumentalny" długości 358 metrów pod fascynującym tytułem „Małżonka Nilu".

Metraż taśmy rozrastał się coraz bardziej. Ponieważ realizatorzy włoscy najchętniej nakręcali swe filmy w dekoracjach autentycznych, nic więc dziwnego, że światło ekranów ujrzały „Romeo i Julia" (Werona) i „Quo Vadis" (Rzym), a następnie „Ostatnie dni Pompei" (Np. w tej chwili pod Rzymem nakręca się film o identycznej choć bardzo rozbudowanej fabule). Tematyka filmów włoskich jest niezwykle charakterystyczna dla całości twórczości artystycznej w tej dziedzinie.

W r. 1912 wytwórnie włoskie wypuściły następujące filmy: „Odyseja", „Jerozolima Wyzwolona" „Triumf miłości" (z aktorami La Scali mediolańskiej) „Narzeczona z Messyny (wg. Schillera), „Brutus", „Tristan i Izolda", „Neron" „Lukrecja Borgia", „Róża z Teb", „Zygfried" (940 mtr. i 1000 statystów) „Pokusy św. Antoniego", „Dante i Beatrycze', „Parsifal"; również wielkim powodzeniem cieszyły się w tym okresie dramaty modnego wtedy d' Annunzia, przerobione na ekran.

Publiczność włoska mogła podziwiać dramaty kryminalne własnej produkcji jak np. „Tygrys", „Cela nr 13". „Mascar contra Picomas".

Wrodzona żywość gestu Włochów znalazła naturalne ujście w filmach komicznych, jak: „Dwa proszki", „Przeklęty kapelusz", „Mąż praczki" itd.

Podczas wojny tureckiej — szereg operatorów filmowych kręciło kroniki wojenne oraz filmy tzw. patriotyczne „Bersalierzy", „Bitwa pod Mizrathi".

Ciekawy eksperyment zrobiła jedna z wytwórni włoskich, która sfilmowawszy w odpowiednich prowincjach rodziny walczących z Turkami żołnierzy — rozesłała kopie tych filmów do odpowiednich wojskowych jednostek regionalnych. Po wojnie producenci po przejrzeniu całości materiału dokumentarnego „kroniki" utworzyli pierwszą narodową filmotekę.

Sprawa propagandy turystycznej należała we Włoszech do jednego z najżywotniejszych zagadnień. I tu film przyszedł z pomocą realizując cały szereg filmów krajoznawczych z całego terytorium półwyspu.

Dzięki temu film stał się pewnym czynnikiem społecznym i wzmocnił swe pozycje. Równocześnie „Stowarzyszenie Producentów" zapoczątkowało użycie filmu jako pomocy szkolnej.

Podczas Międzynarodowej Wystawy w Turynie odbył się pierwszy konkurs (Festival) filmowy. Nagrodę otrzymał film p.t. „Złote wesele" (artystyczny) i „Pszczoły i motyle" (naukowy).

Od r. 1912 film włoski począł się stawać jakąś dziwną mieszaniną artystycznej legendy — aspektów społecznych i... kryminalno - sensacyjnych. Dowodzi to stałego braku kierunku artystycznego i skrystalizowanych koncepcji. Niejednokrotnie bowiem, w klasycznym arcydziele literackim dzięki technicznym możliwościom filmu — podkreślano czy wyolbrzymiano drobne epizody o pewnym posmaku sensacji do tego stopnia, że wypaczały nie tylko koncepcję artystyczną, ale i moralną autora.

Wojna europejska wytworzyła wielką koniunkturę dla produkcji włoskiej, gdyż Francja i Niemcy poważnie ograniczyły swe produkcje. Ameryka zaś jeszcze nie eksportowała swych filmów do Europy.

Przemysł filmowy włoski posiadający już około dwudziestu wytwórni stał się dzięki temu jedynym dostawcą filmów dla krajów europejskich. W wytwórniach pracowało szereg wybitnych reżyserów jak: Baldassore Negroni, Pierro Fosco, Augusto Genina, Carmine Gallone, Gabriellino d'Annunzio (syn poety) i Alberto Lolli.

Producenci włoscy pozbawieni jakiejkolwiek rzeczowej krytyki oraz konkurencji, i nie biorąc pod uwagę swego sui generis monopolu wytwórczości zrobili poważny błąd, który stał się później przyczyną ich upadku. Mianowicie nie poszukując nowej tematyki uporczywie trzymali się dramatu historycznego i nowoczesnej tragedii. Najsłabszą stroną tego repertuaru był fakt bazowania prawie wyłącznie całej koncepcji na typie dramatu d' Annunzia (bardzo modnego wśród burżuazji włoskiej) i... Guido da Verona którego erotyczne historyjki liczyły setki tysięcy czytelniczek.

Wśród licznych przeróbek dzieł literackich, poważną ilość stanowiły dzieła francuskie. Sfilmowano: „Sprawę Clemenceau z Francescą Bertini i Gustawem Sierena, „Dwie siostry", „Nagą kobietę" z Lidą Borelli, (powtórnie sfilmowaną w r. 1948). „Tajemnice Paryża", „Żyd wieczny tułacz" i „Półdziewice" z Dianą Karenne. W roku 1915 „Pajace" Leoncavallo ujrzały ekrany. Sam kompozytor opery (na cztery lata przed śmiercią) zaadaptował do filmu specjalną partyturę ilustracyjną.

Wydarzeniem artystycznym był występ słynnej tragiczki Eleonory Duse w filmie. Zagrała co prawda tylko w jednym filmie „Popioły" wg Grazzi Deledda, lecz dzięki swej sławie i popularności swymi licznymi oświadczeniami oddała cenne usługi popularyzacji sztuki filmowej.

F. T. Marinetti (jeden z twórców tzw. futuryzmu w roku 1916) opublikował manifest który w kilkanaście lat później stał się ewangelią filmowców — awangardzistów.

Najcharakterystyczniejsze punkty tego manifestu były następujące „Film, najmłodsze dziecię sztuki, może być już traktowany jako dojrzała sztuka futurystyczna czyli, bez przeszłości i tradycji Marinetti użalając się, że mimo tego, film jest dziedzicznie obciążony bezwartościowymi tradycjami teatru literackiego stawia następujące tezy:

„Film jest sztuką samoistną i samodzielną".

„Film nigdy nie powinien naśladować teatru".

„Film będąc widowiskiem specyficznie wzrokowym, powinien przede wszystkim przejść takie same ewolucje jak malarstwo, i odrywając się od fotografii, patosu i rzeczywistości — być impresjonistycznym, syntetycznym, dynamicznym i wolnomyślnym.

„Film musi być całkowicie swobodnym jako środek ekspresji, aby mógł stać się idealnym narzędziem sztuki nieskończenie żywszej i ekspansywniejszej, aniżeli obecnie".

Manifest ten jednak nie znalazł u współczesnych prawie żadnego zrozumienia, choć jeden z reżyserów Giulio Braghalia zrealizował film p.t. „Zdradziecki czar" nie pozbawiony śmiałych koncepcji artystycznych.

Publiczność włoska pozostała wierna swym ulubionym „dramatom". W okresie 1920 — 22 istniało już na terenie Włoch około 80 wytwórni filmowych. Przemysł filmowy stał się dobrą i jak się wydawało pewną lokatą kapitałów, i bez przesady można powiedzieć, że dorównał swym znaczeniem przemysłowi turystyczno - hotelarskiemu.

Gorączka „gwiazd" filmowych ogarniała i demoralizowała młodzież szczególnie zaś dziewczęta, które ściągały tłumami do wytwórni gotowe na wszystko — za cenę ujrzenia się na ekranie.

Wybitniejszymi filmami wtedy były: „Sfinks" z Francescą Bertini, „Krzysztof Kolumb" reż. Eugenio Fontana, „Most westchnień" reż. Dominika Gajdy, i „Messalina" z Liną de Liguort.

Do Rzymu przybyli również realizatorzy francuscy: Gaston Ravel, Pierre Magnier. (Cyrano de Bergerac) Le Bargy (Pułkownik Chabert).

Krytyka artystyczna w Europie jednak już surowo oceniała sztukę filmową włoską. Oto co np. o filmie p.t. Teodora napisał jeden z najbardziej znanych krytyków. „Filmowcy włoscy powiększyli rozmiary swych „obrazów" aż do karykatury, pozbawiając je jednocześnie zupełnie inteligencji i plastyki. Filmy nie posiadają koniecznego rytmu filmowego lecz są pewnego typu freskami muzycznymi jak „Aida" starego Verdiego. Są ciężkie i niezgrabne jak chromolitografie. Dekoracje z gipsu lub tektury, mimo istnienia na terenie Italii autentycznych. Kostiumy kopiuje się z posągów czy mozajek, znacząca jest nienaturalność postaci i gestu. Statyści i tłumy są kierowane mechanicznie i bezdusznie".

Film włoski wpadł w impas.

Producenci włoscy nie zauważyli końca wojny i jej konsekwencji.

Do Europy wtargnął film amerykański. Nastąpił okres poważnego rozwoju technicznego i artystycznego filmu niemieckiego. Eksport filmów włoskich zaczął się kurczyć zastraszająco.

Nowa sytuacja, otrzeźwiła wreszcie producentów i zmusiła ich do samoobrony. W tym celu zdecydowano jako pierwszy krok centralizację przedsiębiorstw filmowych. Powstało coś w rodzaju koncernu (Unione Cinomatographien Italiana) który jednak skupiwszy w swej grupie przedsiębiorstwa małowartościowe artystycznie — ostatecznie ugrzązł nie ujawniając żadnych ciekawszych czy radykalniejszych posunięć dla podniesienia poziomu artystycznego.

Jednocześnie, jednak zorganizowała się grupa „Niezależnych" do której weszli m. in. reżyserzy: Ghions, Almirante, Genina i aktorzy Maria Jacobini, Emilio Ghione, Itala Almirante Manzini.

Zrealizowali oni następujące filmy:

„Dwa Krucyfiksy", „Królowa Róż", „Mała parafia", „Złoty zegar" nowa seria Za-la-Morta i „Kpiarza".

Lecz Unione Cinematographica mimo miernej produkcji posiadała poważne środki finansowe i usilnie zwalczała wszelką konkurencję. Dyrekcja Unione weszła w porozumienie z produkcją niemiecką — efekt był łatwy do przewidzenia. Filmy niemieckie zalały rynek włoski, ograniczając do minimum, nie tylko eksport do Niemiec, lecz rozwój produkcji włoskiej.

Jedynym filmem mieszanej produkcji włosko-niemieckiej był nieśmiertelny „Quo Vadis" z Emilem Janningsenem w roli Nerona.

Porozumienie włosko - niemieckie stało się grobem filmu włoskiego. „Niezależni" również ulegli w tej nierównej walce i wielu z nich udało się po pracę do Niemiec.

W tym ciężkim okresie sfilmowano już tylko: Legendę Piavy (nowa wersja) „Dom piskląt", „Drogę grzechu" i nową serię z siłaczem Macistesem. Film „Ostatnie dni Pompei" (nowa wersja) uległ z powodu braku kapitałów przerwaniu, a próby współpracy tym razem z produkcją wiedeńską po ostatecznym ukończeniu tego filmu, skończyły się katastrofą i całkowitym uzależnieniem od producentów niemiecko - austriackich.

Producenci niemieccy zaanektowali dla swych wytwórni najlepszych reżyserów i aktorów włoskich do akrobatów włącznie m. in. Luciano Albertini i Carlo Aldini. Pozostałych porwał Hollywood.

Mussolini, po dojściu do władzy zapragnął uczynić z filmu narzędzie propagandy faszystowskiej. Powstało L'Unione Cinematografica Educative (LUCE) z kapitałem 2,5 miliarda lirów ściągniętych z kas Ubezpieczeń Społecznych, komisariatów emigracyjnych i Daru narodowego b. kombatantów. Całość przedsiębiorstwa znajdowała się pod kontrolą ministerstwa spraw zagranicznych. Jednak propaganda „narodowa" wybrała sobie drogę i metody dość dziwaczne, gdyż jednym z pierwszych posunięć kierowników „nowego filmu" było zawarcie umowy ni mniej ni więcej tylko z amerykańskim koncernem Hearsta oraz niemiecką UFA.

Mimo, że pod adresem filmowców włoskich sfery oficjalne wypowiadały południowym zwyczajem tysiące pochlebstw i gratulacji — mimo że próbowano stworzyć coś w rodzaju wychowania filmowego (np. katedra techniki filmowej na Uniwersytecie w Turynie) — mimo powtarzam że produkowano naprawdę poważne ilości filmów dokumentarnych i patriotycznych — jaka była właściwa sytuacja niech powiedzą poniższe cyfry. Na sto filmów wyświetlanych było 95 amerykańskich, 3 włoskie, dwa francuskie, niemieckie czy angielskie. Bez komentarzy!

Celem ratowania sytuacji ministerstwo gospodarki narodowej wydało dekret podwyższający kwotę procentową wyświetlanych filmów włoskich do 10. Niewiele to pomogło — gdyż większa część filmów była „produkowana albo zagranicą tzn. w Berlinie lub Wiedniu i traktowana była niesłusznie jako produkcja rodzima (albo też o ile realizacja odbywała się w kraju — była to w ramach umów mieszanych np. włosko - niemiecka lub włosko-francuska.

Powstała Ente Nazionale della Cinematographica. W kilka miesięcy po założeniu wybuchła skandaliczna afera finansowa i znowu wszystko wróciło do dawnego stanu. — Impas trwał.

Wtedy odezwał się film dźwiękowy. Słynny dramaturg Pirandello ogłosił ten wynalazek — jako śmierć teatru. Film dźwiękowy nie stał się co prawda „śmiercią teatru" — tym niemniej w dalszym ciągu — spychał sztukę włoską ku przepaści — tym razem za pomocą „dobbingu". Chwilowo zagrożona pozycja amerykańska została jeszcze bardziej wzmocniona.

Znowu ukazało się parę filmów. „Żywe ogrody", „Pieśń miłosna", „Kobieta skłamała".

Pojawił się nowy młody reżyser Blasetti, który zrealizował dość ciekawie: „Słońce" i „Matkę-Ziemię".

Frekwencja publiczności w kinach zmalała do tego stopnia, że na trzy tysiące sto osiemdziesiąt sal kinowych były czynne pełny tydzień tylko sześćset siedemdziesiąt cztery. Przyczyny tego zjawiska leżały w niskim poziomie artystycznym i nieistniejącej prawie produkcji rodzimej.

Blasetti nakręcił jeszcze: Il Palio di Siena a Tofano „Rok VIII" (ośmiolecie faszyzmu).

W związku z dziesięcioleciem marszu na Rzym Mussolini ogłosił konkurs na scenariusz o tym zdarzeniu. Wpłynęło sto sześćdziesiąt osiem rękopisów, lecz żaden nie został uznany za godny realizacji.

Ostatecznie scenariusz zamówiono u pisarza Giovachino, który napisał i zrealizował „Camicia nera" (Czarną koszulę).

Realizatorzy włoscy idąc za przykładem francuskich i niemieckich rozpoczęli nakręcanie filmów w kilkujęzycznych wersjach.

Zrealizowano „Trzej panowie we frakach" ze słynnym tenorem Tito Schipa „Miłostki Pergoles'a" (słynnego kompozytora utworów religijnych w początku 18 w).

Powoli kinematografia włoska poczęła powracać do życia całkowicie zdegenerowana i wyjałowiona z wartości artystycznej.

„Czarna koszula" mimo poparcia oficjalnego zrobiła generalną „klapę". Było to winą reżysera Forzano, który nieudolnie skopiował koncepcję i środki artystyczne „Linii Generalnej" Eisensteina. Potem nastąpiła prawdziwa katastrofa artystyczna: Mussolini napisał scenariusz (!!) pt. „Sto dni". (Napoleon). Zrealizowany okazał się najokropniejszym kiczem w dodatku bardzo gadatliwym.

W latach 1934 — 35 ukazały się: „Chłopiec" reż. Ivo Perelli, „Klasa druga B" reż. Alessandrini, „Marsz weselny" reż. Maro Bonnard, „Niewinna dziewica" Carmine Gallone. Reż. Blasetti zrealizował „Starą gwardię" o rewolucji faszystowskiej.

Sankcje anty - włoskie w związku z agresją na Abisynię wbrew obawom producentów — nie dotknęły kinematografii, ani bowiem Ameryka ani Niemcy najwięksi dostawcy filmów nie zerwały stosunków handlowych z faszystowskim rządem. Przyjacielska ta „współpraca" stała się w konsekwencji przekleństwem, a następnie grobem prawdziwej sztuki filmowej włoskiej oraz całkowitym poddaniem się produkcji pod wpływy wielkich koncernów hitlerowsko - kapitalistycznych.

Hitlerowcy uruchomili cały swój aparat przemysłowo inwazyjny i do kapitulacji Włoch rządzili i gospodarowali produkcją półwyspu metodami znacznie bezwzględniejszymi niż u siebie. Do metod tych w pierwszym rzędzie należał nieprawdopodobny wyzysk pracowników Włochów przez producentów berlińskich oraz terror reżimowy, popierany zresztą przez czołowych faszystów, zaangażowanych poważnie finansowo w poszczególnych działach „państwowego przemysłu". Sytuacja realizatorów włoskich była niezwykle ciężka — tym więcej, że abstrahując nawet od względów materialnych — zmuszani byli do stwarzania miernot i zupełnego zapierania się swych ambicji artystycznych. Film włoski stał się kolonią producentów hitlerowskich.

Ameryka ograniczyła się chwilowo do masowego importu swoich Super - filmów z fabryk hollywoodzkich, co wycisnęło poważne piętno na ówczesnej produkcji. O tym w jaki sposób handlarze z USA ostatecznie ujarzmili, niebezpieczną dla ich kieszeni, wolną ideę sztuki — pomówimy na końcu tego artykułu.

Produkcja w latach 33—35 kształtowała się jak wskazują poniższe cyfry:

(Dokończenie na str. 9)

Jan Paweł Gawlik

„DŻOLERZY"

Wśród charakterystycznych grup naszego społeczeństwa jedną z ciekawszych jest społeczność powojennej „złotej młodzieży", długomarynarkowych dandysów zwanych potocznie „dżolerami". Przyjrzyjmy się im bliżej. Oto siedzą wieczorami, do późnych godzin nocnych, w popularniejszych lokalach nad filiżanką kawy, szklanką piwa lub butelką wódki. Siedzą tak dzisiaj, jutro, będą pojutrze — są stałymi bywalcami, nałogowymi konsumentami owej specyficznej atmosfery lokalu, jazzu i na wpół swojskiego nastroju z jakim spotykamy się zazwyczaj, gdy nawet obcy sobie ludzie pod jednym dachem jedzą i piją. Marynarki długie, skrojone według ostatnich importowanych nowinek, buciki na wielocentymetrowej podeszwie (biała masa organiczna zamiast podeszwowej skóry zwana „słoniną" uchodzi tutaj za szczyt elegancji), włosy często długie, błyszczące od brylantyny, na palcu wielki, „rodowy" sygnet, i spodnie wąziutkie, wyprasowane „na kant", którym, jak mówi Gałczyński, można by się golić — oto zewnętrzne akcesoria rasowego dżolera. Nie każdy jednak człowiek ubierający się według przykazań mody jest dżolerem, i na odwrót — nie każdy dżoler musi mieć marynarkę schlebiającą najnowszym gustom i buciki na „słoninie". Klan dżolerów ma znacznie więcej cech wspólnych i silniejszą więź koteryjną od zewnętrznych podobieństw ubioru. Zastanówmy się, jakie jest podłoże społeczne tej grupy, jakie są jej cele i ideały, jak w końcu wygląda jej rola w współczesnym społeczeństwie polskim i co jest jej zasadniczą cechą.

Dżolerzy nie pojawili się po wojnie nagle, jak grzyby po deszczu. Bodaj zawsze był wśród każdego społeczeństwa klan wyznawców nieutrudnionego i wesołego życia. Wojna więc nie zrodziła zjawiska — jak sądzą niektórzy, upraszczając jego mechanizm i podłoże. Pokazała go tylko w ostrzejszym świetle, podkreśliła ujemną rolę. Sądzę, że w tym wypadku dużo racji mają marksiści określając dżolerów jako produkt degeneracji drobnomieszczańskiej burżuazji. Faktem jest, że grupa ma charakter dekadencki i nie wiele wspólnego z twórczym rozwojem społeczeństwa. Istotną bowiem jej cechą, programowym credo, jest kult linii najmniejszego oporu, łatwego życia w atmosferze lokali i zabaw, i dążenie do życia na cudzy koszt — jeśli ku temu zdarzy się okazja. Dużo przepić, pochwalić się możliwie największą ilością sukcesów erotycznych, osiąganych per fas et nefas, jak najwyżej postawić swoje akcje na dżolersko - towarzyskiej giełdzie, a także jak najmniej lub wcale nie pracować — takie są cele niezbyt fortunnych spadkobierców Epikura. Żyć jednak trzeba. Toteż najczęściej dżoler pasożytuje na swojej rodzinie. Wyłudza niejednokrotnie ostatnie, ciężko zapracowane pieniądze przeznaczone na zaspokojenie naprawdę pierwszych potrzeb. Gdy tego nie ma — musi pracować. Jest urzędnikiem lub rzemieślnikiem, „kombinatorem" lub pomocnikiem kupca, zarabia gdzie się da i jak się da. Jeśli jego źródłem dochodu jest tylko praca, to biedak odżywia się dużo skromniej niżby na to pozwalała siła nabywcza jego zarobków. Lwią bowiem część dochodu pochłaniają „wydatki reprezentacyjne". Pewien jednak procent dżolerów jest w „lepszej" sytuacji. Mają oni po prostu zamożne przyjaciółki, stałe lub przygodne, które doskonale rozumiejąc niedolę pustej kieszeni w sposób mniej lub więcej taktowny nie szczędzą swojej interwencji. Wynika z tego, że towarzystwem dżolerów z zasady nie są kobiety tego samego klanu — istniałby bowiem konflikt interesów. W ogóle omawiana grupa, owa specyficzna koteria obyczajowo - towarzyska ma raczej męski charakter. Wśród kobiet hołdujących dżolerskim ideałom wydaje mi się, że nie wytworzyła się tak zwana razista, świadoma i solidarna grupa jak u mężczyzn. Różnice te tłumaczyć można odmiennością struktury psychicznej. Kobieta z dżolerskim programem życiowym jest dla opinii lepiej zakonspirowana, z czasem w zainteresowanych kołach wyrabia sobie indywidualną „markę", jest na dobrej drodze ku bardziej wyszukanym formom prostytucji.

Środowisko dżolerskie nie ma charakteru kasty. Jest tylko klanem, na ogół trudno dostępnym dla kogoś, kto nie ma wypchanego portfelu — ze względu na snobizmy, które w nim kwitną. Ale zerwanie z tym towarzystwem jest dla jego członka bodaj trudniejsze niż wejście. Środowisko bowiem wciąga ludzi, którzy w nim przez dłuższy czas przebywają. Charakterystyczny jest snobizm na tle przynależności do grupy, jakiś „kult klanu" rodzący się zazwyczaj wokół trudno dostępnych snobizujących się ugrupowań. Jeśli idzie o grupę społecznie pozytywną, twórczą, snobizm ów przyczynia się do zmniejszenia dystansu, podciągnięcia kwalifikacji osób zainteresowanych wejściem do grupy — jest, można zaryzykować twierdzenie, zjawiskiem dodatnim. W wypadku dżolerów snobizm i idąca za nim chęć wyrównania różnic wśród adeptów klanu pogłębia jeszcze jego negatywny charakter. Znałem młodzieńców, których ideałem i celem wysiłków było — zostać dżolerem!!

Podłoże społeczne członków długomarynarkowego towarzystwa jest na ogół jednolite, wywodzące się od zamożniejszych rzemieślników poprzez liczną grupę urzędników, aż do zawodów wolnych. Rzadziej zdarzało mi się obserwować synów robotniczych, lub chłopów wychowanych na wsi, wśród stałych członków koterii. Dżolerzy bowiem wywodząc się ze środowisk mieszczańskich i mając silnie rozwinięte poczucie klasy społecznej są grupą ekskluzywną, snobizującą się nieprawdopodobnie swoją rzekomo wyższością społeczną (!), ubiorem, wpływami, manierami, które często — gęsto zalatują na milę ordynarnym chamstwem, własną, jakże krótką, dżolerską tradycją. Członkowie klanu ze środowiska robotniczego lub chłopskiego są renegatami swojej klasy. Zazwyczaj wstydzą się swego pochodzenia.

W tym gronie popularnymi rozrywkami jest kibicowanie meczów piłkarskich, karty, filmy w rodzaju „Gildy", jazz i — oczywiście — napoje alkoholowe, wśród których wódka ma uprzywilejowane miejsce. Dżolerzy odznaczają się głęboką pogardą dla intelektualnego wysiłku. Owszem, powierzchowna znajomość głośniejszych zagadnień jest potrzebna do pseudokulturalnej, arcydyletanckiej w istocie rozmowy, którą czasem trzeba olśnić przygodne towarzystwo. O rzetelnym jednak zainteresowaniu jakąkolwiek problematyką kulturalną, filozoficzną czy ideologiczną nie ma mowy. Tutaj dochodzimy do jednej z charakterystycznych cech polskiego dżolerskiego światka. Jest nią zupełna bezbarwność ideologiczna, (jeśli nie liczyć kultu użycia) i obojętność na nurtujące społeczeństwo zagadnienia kulturalne i światopoglądowe. Cecha to reprezentatywna i ważna dla ogólnej oceny grupy. Zarówno marksizm jak i katolicyzm jest daleko od tych panów. Obcy jest im również egzystencjalizm. Nie spotkałem żadnego dżolera, który by deklarował szczerze jakąkolwiek przemyślaną koncepcję filozoficzną, czy ideologiczną. Spotyka się jedynie wśród nich, i to rzadko, dorywcze improwizacje światopoglądowe, pełne dowodów całkowitej ignorancji w spojrzeniu na rzeczywistość, wewnętrznych sprzeczności i niekonsekwencji.

Bezbarwność i nieporadność ideologiczna wskazuje na zewnętrzny, czysto obyczajowy charakter zjawiska, na jego słabość i nietrwałość w obecnej formie.

Jest rzeczą znaną, że zawsze istniała — i chyba będzie istnieć — tzw. „złota młodzież". Dżolerzy są właśnie odłamem współczesnej złotej młodzieży. Ale nie są oni, jakby się może wydawało, zwyczajnym przedłużeniem, wyrazem długoletniej trwałości starej, lokalowo - dandysowskiej gwardii. Reprezentują dzisiaj na wskroś dedadenckie tendencje i najgorszą tradycję korporacyjnych towarzystw wzajemnej adoracji — co nie zawsze obciążało przedwojennych złotych, rozbawionych młodzieńców. Oderwani od zdrowego pnia społeczeństwa, które rozumie swoją rolę, potrzebę pracy i nauki, potrzebę kultury i odbudowy, dżolerzy są w ślepej uliczce. Nie widzą nawet swojej sytuacji. To nie starzy bywalcy Noworolskiego, Haweki i Zielonego Balonika z czasów, gdy Młoda Polska walczyła o postęp z odchodzącym, ale silnym jeszcze pozytywizmem, ale koteria zupełnie nowa, zrodzona w ostatnim dziesięcioleciu, pewna siebie, dufna i zarozumiała, daleka od mądrego krytycyzmu. Sądzę, że wojnie możemy przypisać spory udział w przyśpieszeniu procesów rozkładowych pewnych grup społecznych — co nie pozostało bez wpływu na powstanie specyficznego, powojennego dżolerstwa. Wielu z nich to ludzie, których partyzantka, łatwe interesy okupacyjne, bądź wreszcie anormalny styl życia i brak możliwości kształcenia się w czasie okupacji wytrąciły z równowagi i zdemoralizowały. Teraz łatwiej prowadzić miłe życie i zdobywać szczeble na drabinie fałszywych wartości, niż zabrać się do ciężkiej i często niewdzięcznej pracy nad sobą. Trzeba podkreślić nie sędziwy wiek dżolerów. 32 — 35 lat — oto górna jego granica. Dolna zaczyna się w liceum, a nawet w gimnazjum. Słowem — ludzie dojrzewający w latach wojny lub ci, którzy jeszcze teraz czerpią z jej tradycji.

Nie wiele mogę powiedzieć o geografii dżolerskich środowisk. Duże miasta i miejscowości wypoczynkowe to ich domena. Może liczniej spotykamy ich na zachodzie Polski, ale różnice nie są zbyt rażące.

Ewolucja tego ciekawego odłamu młodzieży nie pozwala jeszcze na wnioski co do dalszych losów grupy. Obecne powolne podnoszenie się stopy życiowej społeczeństwa stwarza dodatnią pożywkę dla rozwoju tego typu ludzi. Z drugiej strony konieczność zajęcia czynnej i przemyślanej postawy wobec aktualnych zdarzeń politycznych i problemów ideologicznych oraz krystalizująca się świadomość roli jednostki w społeczeństwie: kult dla rzetelnej wiedzy i pracy, który powoli wypiera inne kryteria wartościowania ludzi przez ludzi — wszystko to nie wróży długiej przyszłości klanowi dżolerów. Jak wobec tego będą wyglądały losy owej koterii? Oto pytanie, na które trudno dzisiaj znaleźć trafną odpowiedź.

Każdy członek klanu stanie zapewne na swojej indywidualnej drodze życiowej przed dylematem: albo porzucić coraz bardziej zmanierowane i deprawujące się towarzystwo i zabrać się do godniejszych zajęć, albo zostać wśród starych druhów, ryzykując zupełne wykolejenie się. Nie bez znaczenia są tutaj małżeństwa młodych dżolerów, które owo porzucenie koterii mogą ułatwić. Czy w wypadku zerwania z klanem dawne tradycje nie będą obciążać trybu życia, sposobu myślenia i bycia byłego dżolera — co do tego mam pewne wątpliwości.

Należy określić rozmiary zjawiska. Tutaj możemy pozwolić sobie na optymizm. Dżolerstwo bowiem jest w społeczeństwie stosunkowo wyraźnie odgraniczone, raczej jednoznacznie, negatywnie osądzone i — co najważniejsze — ilościowo nieliczne. Jeden lub — kto wie? — może nawet ułamek procentu — oto ich liczba wśród ogółu młodych ludzi. Pomimo jednak ilościowej, relatywnej znikomości to grupa widoczna, głośna, nadająca ton wielu środowiskom. Dlatego może warto było poświęcić jej trochę uwagi, choćby na użytek historyków naszej współczesnej obyczajowości.

Kosym okiem...

Reprezentacyjna ósemka

Kapitan sportowy Z.L.P. ustalił naszą ósemkę na najbliższe spotkanie międzynarodowe. W wadze muszej startować będzie Borowski, w koguciej Broniewski, w piórkowej Zawieyski, w lekkiej Żukrowski, w półśredniej Kisielewski, w średniej Rudnicki, w półciężkiej Iwaszkiewicz, w ciężkiej Żółkiewski. Wszyscy wymienieni zawodnicy powołani zostali na obóz treningowy, gdzie będą mogli doszlifować swoją formę, a ponieważ forma, według niektórych znawców, jest nieodłączna od treści, zawodnicy również szlifować będą treść.

W muszej, Borowski zdecydowanie pożegnał się z Marią, dzięki czemu polepszył swoją kondycję (conditio sine qua non). Atakuje on dobrze z doskoków, bije przeważnie z lewej i może być zawsze niebezpieczny dla każdej muchy europejskiej.

W koguciej Broniewski jest w pełnym gazie. Jednak kierownictwo obozu nie pozwala, by był on pod pełnym gazem, wobec czego nie karmi się go z butelki. Jest to twardy zawodnik, bijący seryjnie, ale oryginalnie.

W piórkowej wystąpi Zawieyski. Czuje on się najlepiej w tej wadze ze względu na powiązanie piórek z cherubinami. Jedynym kontrkandydatem w tej wadze był dla Zawieyskiego, Piórkowski, który jednakże obniżył loty do fundamentów, tak że nie mógł być poważnie brany pod uwagę. Zawieyski pisuje chętnie ołówkiem anielinowym, dzięki czemu może się utrzymać w tej wadze i nie traci limitu.

Nasz lekki, Żukrowski, to murowane punkty, o ile nie będzie bił swoim zwyczajem poniżej pasa. Rzecz prosta, że grozi to dyskwalifikacją. Popularny „Wojtek" potrafi bić metodą tiutiurlistańską, zarówno z lewej jak i z prawej, co dodaje mu specjnych walorów. Specjalnością jego są zwarcia.

W półśredniej wystąpi Kisielewski. Bokser zdecydowanie praworęczny, ale o harmonijnym uderzeniu. Bije przeważnie pod włos, lub nawet łopatą. Był w swej karierze zdyskwalifikowany na kilka miesięcy za sprzymierzenie się z pewnym niesportowym tematem. Cechuje go szybki refleks, celne kontry i dobry ton uderzenia.

W średniej walczyć będzie Rudnicki. Po długich targach, w których dowodził, że on nie jest średni, tylko najlepszy, kierownictwo zatrzymało go w tej wadze. Rudnicki założył protest powołując się na ob. Szekspira. Jednakże kierownictwo odrzuciło ów protest, motywując to twierdzeniem, że żadne osobiste protekcje nie mogą być podstawą w klasyfikacji zawodnika. Specjalnością Rudnickiego są uniki. Już dwa razy uniknął on cennej nagrody, która mu się niewątpliwie należała.

W wadze półciężkiej reprezentować nas będzie Iwaszkiewicz. Jest to stary rep, rutyniarz, o którego możemy być spokojni. Specjalność—walka na dystans. Im większy dystans tym lepiej. Znakomity technik, jednakże dość powolny Iwaszkiewicz znany jest z szeregu turniejów międzynarodowych i o ile tylko utrzyma swą wagę, możemy być go zupełnie pewni. Któż by jednak nie utrzymał wagi, przy takim dystansie?

W ciężkiej został wystawiony Żółkiewski.

Bokser ten walczy wyłącznie lewą, jego lewy sierp należy do najlepszych. Jest bardzo agresywny, jednakże surowy. Mamy nadzieję, że doszlifuje formę na obozie kondycyjnym. Świetna jest jego praca nóg. Żółkiewski znakomicie myli ciałem i może być niebezpieczny dla każdego młodego i niedoświadczonego zawodnika.

Sądzimy, że ekipa zestawiona została jak najstaranniej i drużyna nasza w tym składzie znokautuje ostatecznie wszelkie przeciwności i przyniesie zwycięstwo naszym barwom.

ŻUK.

Czytajcie

„Słowo Powszechne"

Janusz Kędzierski

HAVRE

Pamięci kolegów załogi bombowej Nr 75 O.T.U. Bramcote — poległym w nalocie na port Bremen w czerwcu 1942 r.

— Hallo nawigator — rozległ się w słuchawkach miły, ale jednocześnie stanowczy głos Wicia Dobrzańskiego — czas już iść do wieżyczki bombardierskiej.

Janek wzdrygnął się. Zawsze kiedy opuszczał „pokoik" nawigatorski w swoim wielkim, czarnym jak smoła — ale tak drogim sercu „Wellingtonie" — musiał przełamywać jakieś opory wewnętrzne. Tutaj było wygodnie, znacznie cieplej, niż w pozostałych częściach wielkiego grata — światełko żarówki nad stolikiem z mapami dawało małej kabince ułudę spokoju i bezpieczeństwa. Okienka samolotu zasłonięte szczelnie czarnym materiałem nie pozwalały na najmniejszy błysk światła na zewnątrz i oddzielały nawigatora — zdawało się — najzupełniej od świata artylerii przeciwlotniczej, myśliwców i zimnych fal Kanału. Momentu przejścia do wieżyczki bombardierskiej — szczególnie na większych wysokościach — nie lubił jeszcze dlatego, że nastręczało to całe mnóstwo drobnych, ale nieznośnych kłopotów: chowanie map nocnych, celu i latarki do kieszeni kombinezona, przytwierdzanie do tańczącego wiecznie stolika map Mercatora, odczepianie się od tlenu i telefonu pokładowego, kłopoty ze spadochronem — który przed przekroczeniem brzegu Anglii, leżał sobie rzucony niedbale pomiędzy rozliczne rury i przewody paliwowe. Do tej długiej litanii czynności dla Janka dochodziła jeszcze jedna: przyczepienie sobie podręcznej butelki z tlenem, z której oddychał nim włączył się w życiodajną rurę w kabinie bombardiera. Janek miał dawno skończoną trzydziestkę, setki godzin w powietrzu, więc wiedział dobrze, że aby latać, nie może sobie nigdy już pozwolić na palenie papierosów na wysokości i oddychanie bez tlenu. Te brawurowe wyskoki znosiły jedynie młode, zdrowe płuca najmłodszych kolegów z załogi.

Wszystkie graty ulokował pod obu pachami, przed odejściem powiedział do mikrofonu sakramentalne: „Wyłączam się — przechodzę do wieżyczki bombardierskiej" i zaczął przepychać się wąskim, najeżonym różnymi rurami i występami korytarzykiem. Pierwszym, którego minął i mimowoli uśmiechnął się, był radiotelegrafista, sierżant Staś Mielcarek. Ten szybki jak skra, zdolny, zawsze chętny do lotu dziewiętnastoletni maturzysta z Białej Podlaskiej, był radością całej załogi. Wszyscy wiedzieli, że Mielcarek nie zawiedzie, Mielcarek zawsze sobie da radę—że dla tego młodzika o bystrym, inteligetnym spojrzeniu i pięknie sklepionym czole „szafa" radiotelegrafisty nie przedstawiała żadnych tajemnic i zawiłości. Mielcarek odbył kilka lotów z innymi załogami, uważał się za starego wygę powietrznego. Gdy Janek go mijał, podniósł zwyczajem angielskich lotników prawy kciuk do góry i z uśmiechem powiedział: — A niech pan kapitan fest wyceluje nasze śliweczki na „dobrych Niemców".

Następna kabina, przez którą musiał przeciskać się, była przegrodą pilotów. Przy sterach siedział właśnie pierwszy pilot, porucznik Witek Dobrzański. Młoda, tak wesoła w świetle dziennym twarz dwudziestojednoletniego chłopca, oświetlona obecnie zielonawo-niebieskim światłem zegarów, wyglądała dziwnie staro i groźnie. Obok niego stał drugi pilot załogi, porucznik Tomaszewski. Kabina wypełniona była potężnym hukiem dwu tuż, tuż wbudowanych silników. Pracowały one na pełnych obrotach. Pomimo kominiarki i słuchawek na uszach głuchy trzask wybuchów motorów boleśnie wwiercał się pod czaszkę, nie pozwalał spokojnie myśleć, drażnił, rozstrajał nerwy. „Wellington" wdrygał się w rytmicznych podskokach. Wyczuwało się wysiłek delikatnych, lekko wibrujących płatów — które starały się podźwignąć jeszcze wyżej potężny ciężar kadłuba przepełnionego bombami, paliwem, załogą.

Ponad Wyspą nabrano tylko niespełna 3.000 metrów wysokości. Powyżej „chodzili" angielscy myśliwcy nocni, którzy mieli prawo strzelać do każdej maszyny przekraczającej tę wysokość. Kiedy przeszli brzeg własny i Janek wlókł się do celownika, Wicio wrzepił „busta" i zaczął gwałtownie windować się do góry — lecąc jednak ciągle w prostej linii na cel — port wojenny w Havre.

Jeszcze bowiem przed startem zdecydowali, że będą bombardować z takiej wysokości, jakiej zdołają nabrać, lecąc cały czas po trasie. Inne, rozsądniejsze załogi wspinały się spokojnie krążąc nad wodami Kanału i mogły mieć nad celem pięć i pół — sześć tysięcy metrów wysokości. Załoga Janka lecąc po prostej mogła osiągnąć maksimum cztery i pół tysiąca.

Ale Janek nie protestował. Był nawet rad, że jest wśród załogi taki „duch" czyli „morale" — jak to określano w przedwojennych regulaminach. Janek wiedział, że ten „duch" w dużej mierze był spowodowany chęcią jak najszybszego powrotu: Wicia do swej małej Kanadyjki, ze śmiesznie jak u chomika wystającymi zębami, Mielcarka do przerwanego bridża, a przedni i tylni strzelec gwałtownie chcieli być w domu, aby prędko łyknąć jak najwięcej życiodajnego „wiskacza" i pociągnąć jeszcze nim wszyscy pójdą spać ulubioną swą grę — „krótkiego". Jakie tam więc były motywy nienabierania wysokości nad Kanałem, takie były, ale grunt, że zgodnie i jednogłośnie zdecydowano bombardować z takiej wysokości, jaką w prostym, bez krążenia, locie osiągną.

Przez szybki kabiny pilotów Janek po raz pierwszy w locie zobaczył wycinek świata: czarno - szare ponure niebo i dwa jasne, drgające pasemka dokoła motoru. W chwilę później niezgrabnie rozłożył się przy celowniku z tym samym głupim uczuciem, jakiego doświadczał często: oddziela go od przepaści tysięcy metrów i morza tylko cienkie drewno drzwi. Przez szeroką szybę w kabinie spojrzał w dół — na wrogą, nieprzyjacielską wodę. Bo chociaż kanał Brytyjczycy nazywali „angielskim", to jednak w lutym 1942 r. był on właściwie niczyim. Tak w powietrzu, jak i na wodzie buszowali i Niemcy i Anglicy. Wszystko było jeszcze płynne. Przewaga na morzu bezsprzecznie była po stronie Alianckiej — ale za to Niemcy z licznych lotnisk we Francji rąbali konwoje i porty brytyjskie, jak chcieli. Pod osłoną nocy obie strony nabierały śmiałości i agresywności. Piloci niemieccy latali bombardować porty na Wyspie — alianci rewanżowali się coraz częściej i coraz potężniej. Świt przynosił zmianę dekoracji: dywizjony Spitfirów osłaniały własne łodzie ratunkowe, wyciągające rozbitków z nocnych wypraw, dywizjony Messerschmittów robiły to samo.

Teraz fale Kanału były puste. Z wysokości ponad 3.000 metrów były one szare, odpychające. Janek po prostu odczuwał, że będą bezlitosne dla nieszczęsnych załóg zmuszonych do wodowania.

Tlen, telefon pokładowy („Hallo — mówi nawigator — jestem przy celowniku") — wszystko wreszcie włączone. Obok ułożona mapa celu, „Log" (zapiski z lotu) — ustawione i sprawdzone przełączniki i zegary bombardierskie.

Janek porównuje czas i zapiski „logu". Konstatuje, że ma całych 12 minut spokoju. Za 12 minut poda Wiciowi zmianę kursu, wejdą na tak zwany „kurs bojowy" no i zacznie się wojna.

W słuchawkach jest cisza: nawet gadatliwy Kaczmarczyk — strzelec tylny — uspokoił się i nie melduje różnych ciekawych zjawisk na niebie swą śmieszną gwarą Wiecha. Teraz siedzi cichutko, bo wie, że jedno, co mu wolno obecnie krzyknąć to „myśliwiec z prawa, lub lewa". Nawet nie ma prawa meldować mijających, nie atakujących maszyn.

„Po co niepotrzebnie ma denerwować załogę" — powiedział Wicio i Janek przyznał mu rację.

12 minut! Tak długo i jednocześnie tak krótko. W pracy nawigatora, który ciągle coś kreśli, mierzy, zapisuje — okres w którym się nic nie robi, staje się czymś bardzo dziwnym.

Jedyny moment, kiedy można pomyśleć, popatrzeć, odpocząć. Bo lot w tych nowoczesnych maszynach pochłania tak, że na refleksje nie ma chwili czasu. A może Anglicy umyślnie wprowadzili te różne „logi" i inne świństwa, aby nawigator nie miał czasu myśleć? Na przykład teraz. — Kilka wolnych minut i już mózg Janka napełniają szeroką falą zupełnie niepotrzebne myśli. Dotychczas nie bał się — nie było po prostu na to czasu. Ciągle liczył, przyjmował namiary od skupionego Mielcarka. Zapisywał w „logu" wyniki i cieszył się, że wcale nieźle idą po wyznaczonej trasie. Starał się całą mocą napiętych nerwów, wbrew swemu usposobieniu, pracować jak maszyna, jak zegarek. A teraz po raz pierwszy nachodzą Janka głupie wątpliwości i refleksje.

Havre — niby łatwy cel — mówili koledzy. Ładnie łatwy, kiedy nie wrócił z niego taki as, jak przyjaciel najserdeczniejszy Janek Błażejewski — dowódca eskadry w 304 dywizjonie. Błażejewski miał najtrudniejsze loty poza sobą, wielkie doświadczenie — i wszelki ślad po nim zaginął, właśnie z Havre. Janek widzi nagle wyraźnie sylwetkę przyjaciela na tle fal: na nartach w Karpatach, to znów w „Cyganerii" — gra orkiestra, światła przygaszone — nastrój. Tak to lubił ten urodzony lotnik...

A jak latał cudownie! Janek przypomina sobie jego niezrównane lądowania na różnych typach samolotów w Ustjanowej — pod ostry, nierówny stok.

I taki pilot nie wrócił właśnie z Havre — nad którym będziemy za jakieś dziesięć minut...

Janek nerwowym ruchem zdjął grubą rękawiczkę i sprawdził znowu przełączniki bombardierskie (niedawno przecież por. Zamoyski z 301 dwa razy latał na Niemcy i dwa razy wrócił z bombami, bo mu się te przeklęte „świcze" pomyliły).

Spojrzał w dół. Kanał był wciąż ten sam, beznadziejnie pusty, szary, nierozświetlony nawet księżycem zza chmur.

— Rąbną i nas — myśli Janek i boi się coraz więcej. Przecież tak mało maszyn bierze udział w dzisiejszym nalocie. Miało iść 50 — część na pewno w ogóle nie wystartuje, część — jak zawsze — zawróci. Dobrze będzie, jak znajdzie się 30 nad celem. I to do tego niejednocześnie. Będą nas łuskać po kolei...

Janek wie jednak, że on nie może „nawalić". Co by powiedzieli na to Dobrzański, Tomaszewski, Mielcarek — nie mówiąc już o strzelcach samolotowych?

Ci strzelcy najbardziej imponują Jankowi. Bo piloci i radiotelegrafista, to przecież inteligenci. Pompowano im pewne zasady w gimnazjach, w szkołach wojskowych. Ale ci dwaj sierżanci — jeden z nosa, a drugi z ogona ogromnego Wellingtona? Biedę młodości mają wypisaną na przedwcześnie postarzałych twarzach, nie wiadomo czy ukończyli nawet szkoły powszechne. Zda się, że Polska nic im nie dała — a oni dają teraz przecież z siebie wszystko.

Janek czuje specjalną słabość do Kaczmarka. Przecież ten mały, wiecznie uśmiechnięty dawny żołnierz z Karpackiej Brygady — to „warszawski rodak" z Woli. Janek mieszkał przed laty na Pradze. Jednak nigdy nie przyznał się Kaczmarkowi, że są z jednego miasta. Bo tylny strzelec głęboko lekceważył ludzi z prawego brzegu Wisły. Dla niego dumne miano warszawiaka mogą nosić tylko chłopcy z Woli. Czerniakowa i Starówki. Ale z Pragi — nigdy!

Kaczmarek też lubi Janka. Nieraz przed wsiadaniem do maszyny, kiedy nawigator gubił po drodze różne teczki i cyrkle, słyszał, jak mały strzelec pomrukiwał do „przedniego": — Rusz się słoniu, pomóż naszemu dziadziowi zanieść parasol do grata.

Parasol, to był w jego języku spadochron.

Przedni strzelec — wielki, powolny, dość ciężki w pomyślunku — ma w sobie powagę typową dla Wielkopolan. On też okropnie lubi Kaczmarka i uważa go za wyrocznię — ale nie daje tego poznać po sobie.

Obaj mogliby przecież siedzieć spokojnie w Blackpool, chodzic (jak setki innych) na tańce z Angielkami — a wepchali się do najniebezpieczniejszego zajęcia. Bo strzelec - podoficer musi wypełnić nie jedną, ale co najmniej dwie pełne kolejki lotów. A takich, którzy szczęśliwie je przeszli, można policzyć na palcach.

— Ile to czasu do zmiany kursu na bojowy?

Janek ostrożnie oświeca latarką zegarek. Jeszcze pięć minut. Trzeba uważać, bo a nuż zrobił jakąś pomyłkę w obliczeniach i wyjdziemy na brzeg niespodziewanie?

Kanał jest wciąż taki sam — szary i smutny. Ale co to? Tuż — prawie prostopadle pod brzuchem maszyny rozpaczliwie zdobywającej metr po metrze wysokości, nawigator dostrzega coś nowego. Wyrosły niespodziewanie na szarym tle małe czarne punkciki. Jeden, drugi, trzeci. Tam dalej jeszcze więcej. Czwarty i piąty.

Może to „flak - shipy"? (okręty z artylerią plot. ustawione specjalnie dla obrony wybrzeża). Ale czemu nie strzelają? Już i tak za późno, aby robić unik, zmienić kurs. Janek przygląda się uważnie — ale długoletnie doświadczenie obserwatorskie mówi mu od razu, że nic i tak nie rozpozna. Na okrętach się nie zna, (najdalsza jego wycieczka wodna to spacer „Kościuszką" na Bielany), a z blisko 4000 metrów trudno coś rozpoznać — szczególnie teraz w nocy. To muszą być jakieś wraki zatopionych okrętów, może boje ratownicze. A najpewniej to skałki nienaznaczone na mapie.

Punkciki stoją zda się w miejscu, a uspokojony Janek jeszcze raz sprawdza przełączniki. Patrzy na zegar rozdzielczy bomb nastawiony na zwłokę dwusekundową. Dwanaście bomb będzie lecieć więc w 24 sekundy. Właśnie rozpocznie się najgorszy obstrzał i pilot nie zmieni ani na metr wysokości i kursu. Janek wyciąga już rękę, aby przestawić zegar na krótszy czas — ale po chwili cofa ją.

Takie, a nie inne tempo wyrzucania bomb było wyznaczone przez dowództwo. Janek przypomina sobie jak młody, umorusany pomocnik zbrojmistrza z nabożeństwem ustawiał jeszcze na lotnisku w Hemswell tę podziałkę — a tu nagle on, stary lotnik będzie ją zmieniał? Już teraz „nie wytrzymuje nerwowo" — jak się to mówi kpiąco w kasynie?

Zaczyna się robota. Janek staje się znowu spokojnym automatem, gdy oznajmia:

— Zmiana kursu — nowy kurs 42 stopnie „tru".

— Nowy kurs 42 — powtarza Wicio.

— Zmienić kurs — mówi po chwili Janek.

— Kładę na kurs — odpowiada poważnie Wicio.

Teraz idą po kursie bojowym. Wprost na południową część portu wojennego Havre. Za pięć minut rozpoczną bombardowanie. Już teraz powinien być widoczny i port i ogromna zatoka obok.

Jest, jest ląd! Z dziwnie dużą szybkością ogromna, czarna plama ziemi wychodzi spod płatów Wellingtona.

Psiakrew! Źle, zupełnie źle wyszli! Zbyt na północ. Port widać na wyraźnie zarysowującym się cyplu na prawo.

— Zmiana kursu — mówi prędko, nienaturalnie spokojnym głosem Janek — nowy kurs 180 stopni.

— Nowy kurs 180 — słychać trochę zdziwioną odpowiedź Wicia.

Ale cóż to znowu? Czy to zdenerwowany pilot źle prowadzi maszynę — czy też wieje jaki górny, gwałtowny wiatr — bo nie idą przecież zupełnie do upragnionego cypelka z portem!

Janek oblicza teraz szybko — na oko. Nie ma czasu na detale.

— Kurs 220 — mówi już głosem podenerwowanym.

— Co jest u diabła — gonią wątpliwości w głowie nawigatora — dotąd szliśmy dobrze, a teraz nagle robimy zupełne kółko, aby znaleźć ten przeklęty Havre?

Co to jest? Witek godzinami prowadził idealnie maszynę na kursie, a teraz tuż przed celem nie może jej utrzymać przez kilka głupich minut? Zestrachał się i opuścił go nagle ten wspaniały spokój młodości?

Ale ze mnie idiota, stary cymbał — rozjaśnia się nagle wesoło Janek.

Błyskawiczna decyzja i w słuchawkach rozlega się:

— Wrócić natychmiast na stary kurs 42.

Okazuje się, że pomyłki zdarzają się nawet, gdy ma się za sobą całe

lata nocnych lotów i oglądania różnych terenów w zmiennych warunkach.

Przecież to była chmura, ogromna czarna chmura, która sformowała się blisko brzegu francuskiego.

I on, stary nawigator, dał się nabrać jak początkujący żółtodziób lotniczy!

Powie o tym jutro tylko Wiciowi. Przed resztą załogi trzeba robić minę jakby wszystko szło „jak po sznurku". Po co denerwować chłopców, że mają taką fujarę jako „skippera" (dowódcę załogi).

Wszystko jest więc dobrze, muszą wyjść gdzieć blisko Havre — a tam niezawodni Niemcy swoim zwyczajem dadzą z pewnością swojego „fixa" (pozycję, położenie) z niezliczonych baterii artylerii przeciwlotniczej.

— Za trzy minuty będziemy nad celem.

— Otwieram drzwi bombowe — słychać w słuchawkach odpowiedź pierwszego pilota.

Maszyna idzie teraz na zmniejszonych obrotach, idealnie po kursie, nie wznosząc się ani nie tonąc nawet na metr. Otwarte drzwi bombowe odbierają jej jeszcze sporo i tak już niewielkiej szybkości.

Nagle Janek — na przekór zdenerwowaniu — ledwie nie krzyknął z radości.

Jest!

Chmura skończyła się i przed oczyma nawigatora zarysowała się delikatną ciemną obwódką olbrzymia zatoka i na cyplu niewielki, niepozorny punkt — port.

— Trochę w lewo — dość — dobrze — poprawia Wicia.

Długi prostokąt celownika ustawiony jest teraz idealnie na czarną plamkę na szarawym tle morza. Powoli, strasznie powoli dwa te punkty zbliżają się do siebie. Jeśli Janek naciśnie gruszkę spustu wcześniej — dwanaście ciężkich, wspaniałych bomb nazabija trochę ryb przy brzegu. Ale za to załoga nie wejdzie w ogień baterii przybrzeżnych. Właśnie rozpoczęły one szybki ogień. Kilkanaście „zapalniczek" rozłożonych szeroko wokół portu błyska bez przerwy.

— Pewnie nie do mnie celują — pociesza się nawigator.

Wie dobrze, że cały sens bombardowania zawiera się w tych właśnie kilku minutach, które trzeba spokojnie przetrzymać pod ogniem szkopów. Wojna straciła nagle całą swą romantyczną legendę. Pozostał strach. Zwykły strach — przyśpieszający bicie serca, dławiący gardło.

Kreska celownika jest coraz bliżej czarnego punktu.

Pierwsza seria artylerii zamigotała na prawo od samolotu.

— Jeszcze wytrzymać tylko kilkanaście sekund — ależ grzeją — przelatuje przez mózg.

Przycisk ręki i czarne, podłużne pociski wylatują z otwartego kadłuba. Widać przez chwilę jak przechylają się szpicami do przodu i szybko nikną w szarym welonie mroku. Jedna, druga — dziesiąta, jedenasta, dwunasta.

— Bomby poszły — słychać wesoły głos w słuchawkach.

W tym momencie z Wellingtonem dzieje się coś dziwnego. Potężna siła przyciska Janka do podłogi, port rozświetlony wybuchami bomb dziwnie się skręca i wychodzi ponad horyzont. To niezawodny Wicio wyrywał ciężkiego grata z pola obstrzału.

Janek jest taki szczęśliwy, że żyją, że za chwilę wyjdą z niebezpiecznej strefy, że zdobywa się na wielki wysiłek. Pomimo piekielnego wirażu, który przyciska do kadłuba powstaje z podłogi. Staje obok pilota i z radością widzi, jak strzałka szybkościomierza przesuwa się: 180—190—200. Dobra jazda! Wicio oddał wolant do przodu i altimetr opada gwałtownie. Wellington jest teraz szybki, czuły na stery, przyjemny w prowadzeniu.

— Niech sobie używa — myśli Janek — tyle godzin namęczył się, aby nie zboczyć. Bombowiec, to nie samolot na temperament takiego młodzika jak Witek.

Już jest 220 mil na godzinę — przeszło 400 km — szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę wysokość i przez to złe wskazania szybkościomierza. Z każdą chwilą rośnie odległość od baterii. Serie rozrywają się coraz dalej i dalej od wzniesionego ogona. Wreszcie Witek uspokaja maszynę i zaczyna lot normalny. Powstają nowe kłopoty dla Janka. Wiejąc od szkopów, pilot nie trzymał kursu, szybkość miał wielką.

Łatwo teraz można wpakować się na jakiś broniony obiekt. W prawo rejon Londynu, tam lubią pokropić nawet własnego — na lewo potężnie obstawiony artylerią Portsmouth. Strach, ale i przyjemność bombardowania, „gonienia szkopom kota", skończyła się.

— Trzeba wrócić do twardej rzeczywistości — myślał Janek, kiedy znów znalazł się w swojej kabince. Rozjaśnił przygaszone światło i rozpoczął swą współpracę z Mielcarkiem — aby uniknąć niebezpieczeństw czyhających nad Wyspą: balonów zaporowych, punktów „czułych" no i myśliwców alianckich.

Reszta lotu była normalna. Gdzieś w połowie Wyspy obniżyli się tak, że można było zdjąć już maski tlenowe. Janek wyszedł na chwilę do wieżyczki astro. Czarna miska ziemi rozświetlona była licznymi, czerwonymi i zielonkawo-białymi światełkami. To „beacony" — punkty orientacyjne w nawigacji. Mrugały one wesoło i Janek słyszał co chwila, jak przedni strzelec meldował zauważony znak.

Witek Dobrzański musiał też być w dobrym humorze, bo zaczął męczyć „przedniego":

— Powtórz no jeszcze raz ten „beacon".

— No, przecież mówię wyraźnie, panie poruczniku, bije „ksa".

— Co ty za głupstwa dzisiaj gadasz? Gdzie tu są dwie litery?

— Ksa, ksa — mamrotał wciąż chłopak, który nie wiedział jak się wymawia „x".

— Iks—a; iks—a — pouczał Wicio, a biedny „przedni" tłumaczył się:

— No właśnie przecież cały czas mówiłem: iks—a.

W jednym miejscu załoga spostrzegła jasno oświetlony pociąg wjeżdżający na stację. To „sztuczny cel". Widocznie szkopy włóczyli się nad Wyspą i przemyślni Anglicy zachęcali ich do rzucania bomb na tą przynętę.

Kiedy zbliżyli się do własnego, kochanego lotniskowego „beaconu", Janek umyślnie zastosował swój stary, wypróbowany trick. Pozwolił minąć Wellingtonowi z kończącą się benzyną lotnisko — bo wiedział z pewnością, że zostawił je trochę na lewo. Potem pewnym siebie głosem — dla większego efektu — powiedział (cała załoga tylko na to czekała):

— Zrobię małe obliczenie, bo nie długo powinniśmy już być w domu.

Podał nagłą zmianę kursu z nieodzownym dodatkiem:

— Za trzy minuty musi być już nasz „beacon".

— Już widać, proszę pana kapitana, już widać — rozdarł się radośnie nasz przedni strzelec.

Nawigator napisał: „lądowanie godz....." i zamknął książkę.

Cała reszta roboty dotyczyła jedynie Witka: gadanie z ziemią, czekanie na pozwolenie lądowania — wszystkie te czynności, o których załoga wiedziała, że Dobrzański wykona bezbłędnie. Można się jeszcze było zaczepić z jaką własną maszyną, bo co chwila na czarnym, bezgwiezdnym niebie pojawiały się z różnych kierunków biegnące czerwone i zielone punkciki.

Cała załoga miała w nie wlepione oczy. Nie warto było skraksować marnie nad własnym lotniskiem — kiedy szkopy nie dali nam rady!

Wreszcie Wellington ciężkawo przytarł do matki—ziemi. Zaczął niezgrabnie podskakiwać na byle wypukłości, skrzypiąc hamulcami — ot z pięknej, w miarę zwrotnej, potężnej maszyny powietrznej zrobił się nagle marny wóz ciężarowy czy autobus.

W pięć miut później załoga meldowała się u oficera operacyjnego.

Anglik już po kilku zdaniach zrezygnował z rozmowy ze „skipperem". Słownictwo Janka — którym zachwycały się panienki z Blackpool („chodźmy do kina" — „jaka ładna dziś pogoda") okazało się najzupełniej niewystarczające do streszczenia lotu bojowego. Za to Witek, wierny kochanek małej Kanadyjki — z którą spędzał wszystkie wolne chwile w przydrożnej knajpie „Happy Corner" — stanął na wysokości zadania z łatwością. Kiedy sprawozdanie z lotu miało się już ku końcowi. Janek powiedział krótko Wiciowi o zauważonych punktach na Kanale.

Na nieruchomej twarzy Anglika wiadomość ta, zdawało się, nie zrobiła jednak żadnego wrażenia.

— Czy strzelali do was? — zapytał. Kiedy Witek przetłumaczył, że z dziwnych punkcików nie padł ani jeden strzał, Anglik przestał się interesować tą sprawą — chociaż zrobił jakieś notatki w swoich papierach. Grzecznie poczęstował załogę papierosami i oznajmił, że „interrogation" jest skończone.

Załoga powoli rozeszła się. Podoficerowie do messy sierżanckiej. Witek — z powodu zamknięcia bufetu alkoholowego — poleciał pobudzić „kumpelków", aby oblać lot (ten to ma zdrowie!), spokojny Tomaszewski usiadł do sakramentalnych sandwiczów i herbaty z mlekiem w kasynie. Janek powrócił na kwaterę.

— Śmieszna wojna — myślał. Godzinę, dwie temu byliśmy gdzieś nad Francją, nad Kanałem, mogły nas jeść ryby — a teraz znów jest spokojnie i elegancko: kolacja, ciepła kąpiel, niezłe łóżeczko. Nawet jest „dywanik przed łóżkiem". Zostawił go przemiły kompan z 305 dywizjonu — porucznik rezerwy z poznańskiego — „Dziedzicem" powszechnie zwany. Nie wrócił tydzień temu z nad Brestu.

Tak — jest wygoda — ale gdzie tu myśleć o spaniu? Jak to napisała pewna reporterka, która ogłosiła drukiem niedawno opis powrotu załogi z lotu bombowego?

„Szklanka kakao, papieros i spać. spać".

Miało to być zakończenie mocne, krótkie, superrealistyczne.

— Ale to bujda, szanowna pani — myśli Janek, któremu się właśnie przypomniał ten felieton „lotniczy".

— Niech pani przez kilka godzin nawet nie leci nad nieprzyjaciela, ale słucha pracy dwóch motorów w zamkniętym pudle, ze słuchawkami — które boleśnie cisną uszy, i z mikrofonem na szyi, nie dającym prawidłowo oddychać — toby pani nie napisała, że załoga śpi po locie.

Lotnicy są między sobą szczerzy. Janek wie, że tylko najmłodsi, ci z najlepszymi nerwami, nie mają kłopotu z zaśnięciem. Reszta cierpi mniej lub więcej na bezsenność.

Ot i teraz. Janek ciągle balansuje na granicy snu i jawy. Już, już zdaje mu się, że zasypia, kiedy nagle otrzymuje namiar od Mielcarka.

Męczy się, bo widzi, że zeszli wyraźnie z traku.. Nie, to był półsen— szli przecież cały prawie czas dobrze — myśli rozbudzony. Tylko tam nad celem — psiakrew — się pokiełbasiło.

— Proszę do celownika — słyszy i nie może wstać. A tam czeka cała załoga.

Straszne uczucie. Chce iść do wieżyczki bombardierskiej, bo już czas, cel tuż—tuż, ale jest jak przylepiony do swego stolika nawigatorskiego. Rozpaczliwie rzucił się i ocknął z nerwowej półdrzemki.

I ten ciągły ryk silników! Dawno już przestały grać — a w mózg Janka ciągle wbija się ich jednostajna, ogłuszająca melodia

W końcu nad ranem zmęczenie zwyciężyło.

Zapadł w lekki, nerwowy sen.

Ale nie spał długo

Ledwo wstał ponury, zamglony poranek — zrobił się na korytarzach baraków oficerskich niesamowity rejwach. Janek słyszał chrapliwy głos z głośników: „Stand-by" (Ostre pogotowie), bieganie ordynansów, przekleństwa ubierających się kolegów Niedługo potem kaszlnęły silniki. Równy, przyjemny odgłos przechodził co chwila w ryk próbowanego na pełnych obrotach motoru.

— Co u diabła — znowu wojna? — kombinował Janek przewracając się na wąskim łóżku Próbował jeszcze zasnąć, ale już po chwili zrezygnował z tego zamiaru Tuż, tuż nad dachem przeszedł z piekielnym hukiem jeden Wellington, potem drugi i trzeci. Zapowiadała się jakaś większa heca Kiedy wreszcie, zły i niewyspany, zawlókł się do messy oficerskiej, zdziwiły go tam zupełne pustki Wszyscy byli widocznie przy maszynach Po olbrzymiej sali jadalnej krzątały się jak zawsze Wafki, ustawiając herbatę z mlekiem, dżem i inne wyspiarskie przysmaki śniadaniowe. Janek usiadł w kąciku i starał się poprawić zły humor dużą porcją chleba z dżemem Po chwili ujrzał w drzwiach barczystą sylwetkę majora Sulińskiego. Ukłonił się i zagadał.

— Pan się pyta, co się robi! Wojna, panie kochany, wojna — i to na całego Tej nocy zwiały z Brestu Kanałem, trzy najnowsze pancerniki szwabskie: Gneisenau Scharnhorst i Prinz Eugen, w osłonie innych jednostek I to wszystko najbezczelniej przed samym nosem całej Royal Navy i Royal Air Force. Anglicy się wściekają. Nigdy ich dotychczas nie widziałem w takim nastroju. Kompletnie zbzikowali — mówią, że ich honor pierwszych marynarzy świata jest narażony na szwank.

Ale co my — Polacy — winniśmy temu? Wysyłają bez przerwy nocne maszyny na dzienne bombardowanie przez chmury Podstawa chmur jest dziś niziutko, więc o zejściu pod nią mowy nie ma Anglicy podają załogom długość i szerokość geograficzną domniemanego miejsca floty i tak bez celowania każą rzucać bomby przeciwpancerne Domyśla się pan chyba, ile posiadamy szans na trafienie...

Huk przelatujących tuż nad kasynem maszyn, przerwał wynurzenia dowódcy dywizjonu

To nowa grupa polskich Wellingtonów startowała w beznadziejną pogoń za pancernikami

Janek odwrócił głowę od majora, aby ukryć rumieniec, jaki wyczuł wyraźnie na policzku W mgnieniu oka stanęły mu przed oczyma dziwne, czarne punkciki, jakie widział w nocy na kanale Przedziwny przypadek sprawił, że to właśnie on, Janek, „praski rodak" ze skromnej ulicy Stalowej, pierwszy dostrzegł groźną eskadrę nowoczesnych pancerników niemieckich, umykających z Brestu w obliczu floty brytyjskiej. Czemuż się nie zniżył, nie rozpoznał dokładniej. Jaka niebywała okazja zdobycia sławy, przepuszczona A o wielkim czynie marzył przecież jeszcze jako początkujący żółtodziób lotniczy w areoklubie, kiedy to za wielki zaszczyt uważał dotknięcie skrzydła prawdziwego samolotu...

*
**

A następnego dnia w długim komunikacie z działań wojennych ukazała się na końcu tylko skromna wzmianka „Polskie dywizjony bombowe w nocy z 11-go na 12-ty lutego br brały udział w wyprawie na La Havre Wszystkie załogi polskie powróciły cało"

Przypisy

Załoga, o której mowa, zginęła wraz z Wellingtonem w morzu po nalocie na Emden w czerwcu 42 roku (prócz por. Dobrzańskiego i „Janka").

Nowoczesne pancerniki „Prinz Eugen", „Scharnhorst" i „Gneisenau" po naprawieniu uszkodzeń w Brest, przeszły K nałem La Manche w nocy z 11/12 lutego 42 r na Morze Północne.

„Dobrzy Niemcy" — powiedzenie popularne w czasie wojny wśród lotników Polacy wyśmiewali w ten sposób pogląd lansowany przez część opinii brytyjskiej, że biedni „dobrzy Niemcy" są zmuszani do morderstw przez małą grupkę „złych Niemców".

*
**

Major Suliński — dowódca 300 dyw bomb Mazowieckiego w 1941—42, zginął w 1945

Kpt. Jan Błażejewski — dowódca eskadry 304 dyw bomb Śląskiego — zginął w nalocie na Havre w grudniu 1941 r

Por Zamoyski — nawigator 301 dyw bomb Pomorskiego zginął na wiosnę 1942 r.

*
**

Wiskacz — pop whisky.

Lecieć na wojnę — pop lecieć na lot bojowy

Szafa — pop radio samolotowe.

Przedni — pop przedni strzelec samolotwy

JANUSZ KĘDZIERSKI

Do P.T. Czytelników

Niniejszym zawiadamiamy, że od dn. 1 września 1949 r. Redakcja i Administracja „DZIŚ i JUTRO" mieści się Warszawa, Mokotowska nr 43 I-sze piętro

Sekretarz Redakcji przyjmuje codziennie, prócz poniedziałków i piątków w godzinach 12 — 13-tej

TYDZIEŃ

FESTIWAL FILMÓW RADZIECKICH

7 bm. rozpoczyna się „Festiwal Filmu Radzieckiego" i trwać będzie miesiąc.

Kina podzielone będą na dwie kategorie: pierwsza wyświetlać będzie filmy nowe, dotąd nie oglądane, druga — dawniejsze. Do pierwszej grupy tzw. kin festiwalowych zaliczono 63 kinoteatry w 40 miastach.

Filmy festiwalowe obejmują 25 pozycji. Po raz pierwszy ukażą się na ekranie: w wersji polskiej „Sąd honorowy" i „Spotkanie nad Łabą", „Bitwa stalingradzka", „Życie dla nauki" (Pawłow), „Czarodziej sadów" (Miczurin) i „Lenin".

Na temat filmów nowych urządzane będą w kinach dyskusje. „Spotkanie nad Łabą" przeznaczono do dyskusji w ośrodkach robotniczych z udziałem przodowników pracy. Na terenie szkół akademickich, z udziałem senatu, dyskutowany będzie „Sąd honorowy".

Spośród kin warszawskich „Palladium", „1 Maja" i „Polonia" (to ostatnie wyłącznie dla młodzieży) zaliczone zostały w poczet kin festiwalowych.

Odbywać się będzie w nich po 5 seansów dziennie, poczynając od godz. 13. Wprowadzono dwa typy abonamentów: jeden imienny za 650 zł na 13 filmów dla dwu osób — na ściśle określoną godzinę, w wybranym kinie. Posiadacz będzie mógł wejść do kina nie podchodząc do kasy. Ten typ abonamentu może być zamawiany dla większych grup w dyrekcjach poszczególnych kin.

Drugi abonament — na okaziciela — kosztuje 1.600 zł i służy dla dwu osób na 31 dni.

FILM

SUMIENIE.

„Sumienie" jest filmem psychologicznym. Akcja rozgrywa się na przestrzeni kilku dni, które upływają od chwili spowodowania śmierci dziecka do momentu, w którym sprawca oddaje się w ręce policji.

Pokazane są trzy postawy. Postawę, którą można by określić jako czynną, reprezentuje kilkunastoletni syn bohatera, jedynie istotnie pozytywna postać. Film pokazuje, jak zbija on wraz z kolegą stojący w szkole posąg gipsowy. Początkowo chłopak milczy, nie zostaje wykryty i odpowiedzialność spada na całą klasę. Potem jednak, wspominając słowa ojca, przełamuje się i przyznaje (nie wydając jednocześnie kolegi). W międzyczasie dowiaduje się z podsłuchanej rozmowy o wypadku spowodowanym przez ojca. Postępowanie ojca powoduje zachwianie wiary w niego. Chłopiec cierpi, na koniec wybucha, oświadcza rodzicom, że wie o wszystkim i nie mogąc się pogodzić z ich stanowiskiem postanowił usunąć się od nich i uciec z domu.

Postawę bierną zajmuje żona. Dowiaduje się z ust męża o wypadku, aprobuje jego milczenie i zachowuje tajemnicę.

Bohater w jednej z pierwszych scen wypowiada zdanie, że od odpowiedzialności nigdy nie wolno się uchylać. Wyjeżdża on samochodem kierowanym przez siebie w podróż służbową, z której powracając przejeżdża małego chłopca. Widzi to tylko kolega ofiary, również mały chłopiec. Nie widząc nikogo innego oszołomionemu wypadkiem bohaterowi towarzyszka jazdy, a zarazem towarzyszka wspólnie spędzonej nocy radzi ucieczkę. Jedynym śladem jest laleczka zawieszona na szybie wozu, którą zapamiętał mały świadek. Ślad ten nie wystarcza, aby policja zidentyfikowała sprawcę, który pozostawiony na wolności przeżywa wyrzuty sumienia. Aż do momentu wyznania syna uchyla się on od odpowiedzialności, motywując swoje postępowanie obawą konsekwencji (przewidując, że m. in. doprowadzą one do utraty posady i niemożności wyżywienia rodziny).

Motywy postępowania żony, czułej matki i dobrej gospodyni nie są jasno pokazane. Początkowo, gdy prawie bez słowa aprobuje stanowisko męża, można sądzić, że — być może — rolę odgrywa miłość i obawa o ukochanego mężczyznę. Z chwilą jednak, gdy po dowiedzeniu się o zdradzie zmienia swój stosunek do niego na wrogi, ale tajemnicę zachowuje dalej, skłonni jesteśmy sądzić, że kieruje nią obawa utraty środków do życia. (Nie wiemy również, jaka jest jej reakcja, gdy mąż oddaje się w ręce policji).

Zasadniczy problem zostaje rozstrzygnięty przez pokazanie postępowania ojca i syna. Paralelizm akcji prowadzi tu do ukazania kontrastu i podobieństwa obu postaw.

Film nosi tytuł „Sumienie", przy czym swoisty „happy end" — przyznanie się ojca — zdaje się wskazywać na fakt, że owo sumienie zwyciężyło. Czy tak jest istotnie?

Początkowe sceny filmu rysują postać dojrzałego mężczyzny (kończy właśnie czterdzieści lat) o twarzy uderzająco uczciwej, szczęśliwego ojca rodziny i wzorowego pracownika, który samorzutnie w dniu urodzin podejmuje się wyjazdu, celem przeprowadzenia inspekcji. Ten wyjazd psujący święto rodzinne powoduje drobną kłótnię z żoną. Gdy bohater wieczorem, po zakończeniu inspekcji udaje się do restauracji, jesteśmy przekonani, że tylko owa wymiana zdań jest powodem, że je on kolację bez pośpiechu, opóźniając powrót. Ale wyrażenie zgody na zrobioną w obiecującym tonie przez przystojną towarzyszkę propozycję dalszego kontynuowania miło zapowiadającego się wieczoru — zaskakuje. I oto ów nieposzlakowany charakter decyduje się na nocną eskapadę. Czyżby powód można było znaleźć w rozmowie prowadzonej podczas kolacji, gdy zwierzał się swojej partnerce, że nie jest już młody? Ow „starszy", doświadczony pan łatwo ulega wdziękom agresywnej sekretarki — czyżby to był sposób na przywrócenie zachwianej wiary we własną atrakcyjność i tężyznę?

Owo empiryczne stwierdzenie, że czterdziestolecie bytowania nie usuwa poza nawias życia, kończy się we wspólnym łóżku. Trzeba stwierdzić, że akcję można było poprowadzić tak, by tego wydarzenia uniknąć. Zdrada małżeńska jest tu elementem nieistotnym dla zasadniczej problematyki. Wprowadzenie jej (pomijając stworzenie niepoważnej sytuacji — starszy pan korzysta, że żona daleko) nadaje posmaku melodramatycznego i załamuje sylwetkę zarysowaną przez początkowe sceny. Nieetyczność postępowania w tym wypadku chwieje ustalonym poprzednio wyobrażeniem o charakterze bohatera, stawia pod znakiem zapytania uczciwość tego człowieka, jego dalsze postępowanie. (Jednocześnie zastanawiamy się, czy w jego nieprzyznaniu się nie odgrywa roli również i obawa wykrycia w konsekwencji śledztwa przez żonę i opinię publiczną historii owej nocy).

Gdy raz zostało zachwiane nasze przekonanie o nim, to troskę o życie ofiary („gdybyż ten chłopak chociaż żył!"), chęć przesłania mu pieniędzy, niejasne takie zdania, jak „wszystkiemu winna ta Ostrawa" itp., traktujemy nie jako wyraz głębokiego przeżycia, ale skłonność do operowania półśrodkami, chęć uspokojenia sumienia, jakieś zakłamanie wewnętrzne.

Mija bez echa moment, gdy syn przyznał się w szkole do rozbicia posągu, gdy mówiąc o tym ojcu powtórzył mu jego własne słowa. To uświadomienie ojcu właściwej postawy, ta jak gdyby konfrontacja z nim samym — najsilniejszy moment filmu i wydawać by się mogło najistotniejszy bodziec do zmiany — tej zmiany nie powoduje, ojciec pozostaje przy słowach. Decyzja przychodzi później — gdy stracił on oparcie psychiczne w żonie, kiedy ta dowiedziawszy się o zdradzie odsunęła się od niego, gdy odsunął się od niego syn i powstała groźba, że chłopak może — naumyślnie, czy niechcący — wydać komuś tajemnicę (widzimy go błąkającego się koło policji i pytającego o komisarza).

Bohater nie dochodzi do zmiany stanowiska samodzielnie, ale jest popchnięty przez rozwój sytuacji. To nie samorzutny przełom psychiczny silnego charakteru — ale załamanie się pod ciężarem faktów i naciskiem opinii.

Film jest doskonale reżyserowany (J. Krejcik) i grany (M. Vasova, I. Kacirkowa, wyróżnia się, zwłaszcza M. Nedbal jako ojciec i J. Prokes w roli syna), posiada szereg pełnych napięcia momentów i skupia uwagę widza do końca.

LESZCZ.

Z ŻYCIA KULTURALNEGO KRAKOWA

Mieszkańcy Krakowa nie mogą się uskarżać na brak imprez kulturalnych.

Państwowe Teatry Dramatyczne pod naczelną dyrekcją Bronisława Dąbrowskiego rozpoczęły nowy sezon już drugiego września, wznawiając sztuki grane jeszcze przed feriami.

Na deskach Teatru im. Juliusza Słowackiego idzie do dzisiaj znakomita komedia M. Gogola „Ożenek" z Mieczysławą Cwiklińską i Janem Kurnakowiczem w rolach głównych. Komedia świetnego satyryka rosyjskiego zeszła w lipcu z repertuaru przy największym powodzeniu i cieszy się nadal dużym uznaniem wybrednej krakowskiej publiczności teatralnej, która każdego dnia szczelnie zapełnia widownię teatru.

Stary Teatr otworzył sezon wznowieniem współczesnej komedii muzycznej trzech współautorów: Tadeusza Kwiatkowskiego, Wilhelma Macha i Stefana Otwinowskiego pt. „Traktor i dziewczyna" na sali dużej, oraz komedii Tadeusza Rittnera „Głupi Jakub" na małej.

Dyrekcja Starego Teatru zgotowała krakowskiemu widzowi miłą niespodziankę wystawiając ponownie „Romans z Wodewilu", opracowany na tle krotochwili Stefana Turskiego „Krowoderskie Zuchy". Przemiły ten wodewil osiągnął w sezonie wiosennym i letnim rekordową ilość ponad 140 przedstawień i nadal cieszy się niesłabnącym powodzeniem.

Zespół aktorski teatru im. J. Słowackiego przygotowuje na najbliższy okres „Damy i Huzary" A. Fredry, w reżyserii Władysława Krzemińskiego, z Kurnakowiczem i Cwiklińską w rolach głównych, z dekoracjami A. Stopki. Stary Teatr przewiduje wystawienie w połowie października „Niemców" Leona Kruczkowskiego (reżyser dyr. Dąbrowski, dekoracje Kosińskiego) na dużej sali, na małej grana będzie sztuka Kubackiego pt. „Krzyk jarzębiny". Reżyserem jest Ronard-Bujański, dekoracje opracowuje M. Eile.

Wspomnieć również wypada o Państwowym Teatrze Młodego Widza, który rozpoczął nowy sezon premierą komedii K. Isajewa i Al. Galicza pt. „Tu mówi Tajmyr". Reżyserem był Z. Chmielewski.

Teatr Rapsodyczny wystawia „Eugeniusza Oniegina" Puszkina i „Pana Tadeusza" Mickiewicza, sztuki grane przed feriami.

Filharmonia Krakowska rozpocznie nowy sezon koncertowy w pierwszej połowie października. Program działalności będzie obejmował co tygodniowe koncerty piątkowe, poranki niedzielne oraz specjalne występy dla świata pracy. Przewidziane są również wyjazdy do większych miast województwa krakowskiego. Nowy dyrektor, Perkowski, nie zapomniał również o młodzieży szkolnej, dla której organizowane będą wspólnie z Polskim Radiem specjalne koncerty. W znacznie większym stopniu niż to miało miejsce w ubiegłym sezonie, zostanie wykorzystany chór Filharmonii. Będzie on koncertował także w innych salach Krakowa.

Z około dziesięciu wystaw, jakie krakowianie mieli możność oglądać we wrześniu, na specjalną uwagę zasługują: Wystawa Sztuki Użytkowej w salonach Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, dalej „Dawne warownie Krakowa", zorganizowana w średniowiecznych murach obronnych przy ul. Pijarskiej, oraz „Wystawa dorobku ruchu zawodowego" w Domu Kultury Z. Z. w Rynku Głównym.

J. B.

TEATR

Dobry aktor w kiepskiej roli

Najgorzej jest w Polsce z odbudową humoru. Nie wiem, czemu to przypisać, ale tak jest. Dowcipy opowiadane „na ucho" są zbyt jednokierunkowe, bęcwalskie. Nie ma oczywiście humoru we wręcz tragicznych „Szpilkach" (a kiedyś słusznie mówiono, iż „Bóg im powierzył humor Polaków", nie ma humoru w „kącikach' pism codziennych i periodycznych, nie ma go, i to już ma posmak bardzo żałosny, na scenach. Niedługo zaczniemy się wszyscy ubierać na czarno.

„Syrena" wyciągnęła za włosy z rupieciarni przestarzałych gratów bardzo w gruncie rzeczy nudną komedię R. Riskina i usiłuje „Panem z milionami" bawić warszawską publiczność. Oczywiście lepsza jest scenicznie ta komedia od „komedii" Ważyka, ale to przecież nie usprawiedliwia. I skończyłoby się klapą nieuchronną (trzeci akt szarpie nerwy najspokojniejszych, bo zasnąć nie pozwoli orkiestra, a bawić się nie ma obsolutnie czym), gdyby nie interesujące odkrycie, sowicie opłacające pobyt na spektaklu. Odkrycie jest proste: Kazimierz Pawłowski zaczyna być znowu aktorem.

Zanosiło się wręcz tragicznie. Jakaś dziwna maniera, skłonność do zbywania widza byle czym, ot gościkiem, taniutką gierką — aż tu nagle... dziw nad dziwy.

Jim Longfellow (pan z milionami) ma ludzkie, zdrowe rumieńce, naprawdę żyje na scenie i chociaż obraca się w gabinecie figur bardzo z łaski autora papierowych (tandetna bibułka), potrafi nas zainteresować nie prostackimi perypetiami, w których bierze udział, ale samym faktem zupełnie zdecydowanego istnienia.

Przejawy aktorstwa Kazimierza Pawłowskiego są tu jeszcze dość proste i niewyszukane. Niemniej jednak widać wyraźnie, iż nie są to tricki rutyniarza, ale jakby poszukiwanie własnego oblicza. Pawłowski myślał nad tą rolą. To już jest dużo. Stąd wywodzi się nadzieja na przyszłość.

Jedno tylko zjawisko zaciemnia tę nadzieję. Tenże sam Kazimierz Pawłowski jest głównym i bodajże jedynym reżyserem „Syreny". W ten sposób aktor Pawłowski zostaje pod kontrolą reżysera Pawłowskiego. To utrudnia postęp. Pawłowski w rękach dobrego reżysera stałby się bardzo dobrym aktorem komediowym. Nie wierzycie — namówcie ulubionego Kazia, by zgodził się na taką próbę.

Przeglądałem bardzo niedawno (daję słowo, że tylko wskutek zamiłowań bibliofilskich) stary, przedwojenny rocznik „Światowida". Czego tam nie znalazłem! Długo by gadać. Długo by wypominać. Przypomniałem sobie między innymi wysokie kolegacje aktorskie Kazimierza Pawłowskiego. Cieszę się, że to wspomnienie przyszło akurat w tak miłej chwili.

W tymże „Światowidzie" znalazłem rozmowę anonimowego dziennikarza ze... Stefanią Grodzieńską. Obiecywała wówczas, że jedyną miłością jej życia pozostanie taniec. No, cóż... stało się inaczej. Vis maior. Trudno. Znalazły się inne miłości: taternictwo, pogranicze dziennikarstwa i literatury, scena...

Serca nie można rozdzierać na kawałki. Nie można tylu spraw jednakowo ukochać. Któraś z nich będzie na pewno pokrzywdzona.

No i wreszcie, na zakończenie tej impresji raczej niż recenzji, radość z odnalezienia Heleny Buczyńskiej. Na takiej scenie? — ktoś zapyta. Zamknij się, nicponiu. Każda scena jest dobra, gdy chodzą po niej dobrzy aktorzy.

„Syrena" nie będzie niczym gorsza od najczcigodniejszych scen krajowych, gdy zechce swą trudną misję traktować bardziej serio. Poważ nie traktować należy nawet zadanie krzewienia humoru.

Jerzy Artemski

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Ks. EUGENIUSZ DĄBROWSKI

PROLEGOMENA

do

NOWEGO TESTAMENTU

OPOLE 1949.

Dzieło to w syntetycznym ujęciu omawia kwestie wchodzące w zakres tzw. introdukcji biblijnej. Dalekie jest wszakże od suchej ekspozycji podręcznikowej, operowania schematami lub nagromadzenia szczegółów wyłącznie erudycyjnych. Przeciwnie, o każdej księdze Nowego Testamentu zawiera dane oparte na ostatnich wynikach nauk biblijnych, z pominięciem kwestii akademickich, nie mających większego znaczenia.

Autor w książce tej zamierza pomóc czytelnikowi Nowego Testamentu w rozwikłaniu trudności związanych z interpretacją tekstu biblijnego. Nie pomija też niczego, co by mu to zadanie ułatwiło. Ale czyni to w sposób osobliwy. Ewangeliści, św. Paweł, Apostołowie przesuwają się kolejno przed naszymi oczyma, każdy z napisanymi przez siebie księgami. Jest ich wiele (27), a przecież wszystkie one do jednego zmierzają celu... Autor usiłuje odnaleźć tę bogatą różnorodność jednej myśli, zogniskowanej w postaci Chrystusa i Jego dzieła Odkupienia. Całość poprzedzona jest rozprawą pt.: „Co to jest Nowy Testament?", w której jasno wyodrębniono samą tematykę i zajmująco opisano krótkie jej dzieje.

KULTURALNY

Niezastąpione MZK

Literaci mają prawo do posiadania na terenie Warszawy miesięcznych biletów pracowniczych. Bardzo to ładnie, że władze M.Z.K. doceniają pracę literata i usiłują iść mu na rękę. Bardzo natomiast nieładnie, że władze M.Z.K. posiadają w swych szeregach wybitnych biurokratów, którzy rozporządzenia zwierzchników uznają za szablon zwalniający ich od zbytecznego wysiłku myślenia.

Literat X mieszka przy ulicy Sniadeckich, a sekretariat Warszawskiego Oddziału Związku Literatów Polskich mieści się również przy ulicy Sniadeckich. Władze M.Z.K. postanowiły uznać sekretariat oddziału za miejsce pracy literatów, choć ogólnie wiadomo, że literaci przyjeżdżają do sekretariatu raz na miesiąc, by uiścić składki członkowskie

Ponieważ bilet miesięczny przysługuje tylko na odcinku od miejsca zamieszkania do miejsca pracy, wszyscy literaci, którzy wpłacili pieniądze na bilety miesięczne będą mogli jeździć ze swych domów na ulicę Sniadeckich, nie wyłączając literata X, który przy tejże ulicy zamieszkuje. Oczywiście M.Z.K. nie zastanawia się ani przez chwilę nad problemem, czy literaci odczuwają jakieś głębsze i nieprzeparte potrzeby ku temu, by zjawiać się codziennie w sekretariacie swego związku i ukazywać tam stroskanej sekretarce swoje oblicza; nie, M.Z.K. przyjęły to za pewnik. Natomiast Zakłady Komunikacyjne miasta Warszawy powątpiewają w konieczność uczestniczenia literatów na różnorakich akademiach, zebraniach, zjazdach, konferencjach i obradach, które odbywają się w całej Warszawie, a nie tylko przy ulicy Sniadeckich.

— Po cóż właściwie takim bilety miesięczne? Literat jest od tego, żeby siedział i pisał — myślały sobie zapewne M.Z.K.

Otóż wcale nie, proszę M.Z.K. Literat jest od tego, żeby j e ź d z i ł i pisał. A, tak, tak! I warto by, aby P.K.P. pamiętało o tym na równi z M. Z.K. Bo literat, który siedzi i patrzy w sufit, niewiele napisze o nowej Polsce, o jej rozwoju, o odbudowie, o jej ludziach i osiągnięciach. To wszystko trzeba ujrzeć na własne oczy, trzeba wszędzie być i wszędzie porozmawiać, zaczerpnąć atmosfery, posłuchać, popytać... Natchnienia nie rodzą się dziś z patrzenia w sufit, lecz z realnych przeżyć. Rola literata jest dziś inna, niż piętnaście lat temu. Nie wystarczą ploteczki kawiarniane i powietrze zasnute dymem papierosów. Trzeba czegoś znacznie więcej: trzeba kontaktu ze społeczeństwem, z tłem, na które rzuci się w przyszłości usnutą akcję. Trudno i darmo, literat musi się ruszać i jeśli można mu to ułatwić, to prosimy bardzo. A jeśli nie można, jeśli P.K.P., M.Z.K. i ich siostrzane organizacje P.K.S. i „Lot" nie mogą nic zrobić, nie są w stanie, nie widzą możliwości itd., to skończmy z wymaganiami nadążenia za postępem. Bo rośnie dziś i posuwa się wszystko z taką szybkością, że na piechotę nie dogonimy; nie da rady.

KONKURS DOBIEGA KOŃCA

Sytuacja się zmieniła. Na sali „Roma" zamiast sonat, mazurków, etiud, polonezów i nokturnów rozbrzmiewają uporczywie oba koncerty fortepianowe Chopina.

18 finalistów rozpoczęło decydujący bój o palmę pierwszeństwa między młodymi chopinistami. W środę 5 bm. sąd konkursowy ogłosił listę uczestników finału. Znajdujemy na niej (i to specjalną nas dumą napawa) nazwiska 8 Polaków (więc tylko dwu odpadło na II etapie), 6 Rosjan, dwu Brazylijczyków, po jednym Węgrze i Meksykańczyku.

18 finalistów — świadczy o wysokim poziomie Konkursu.

8 Polaków — świadczy o bardzo dobrym przygotowaniu naszej ekipy.

8 Polaków i 6 Rosjan — świadczy o tym, iż muzyka Chopina jest słowiańska.

2 Brazylijczyków i 1 Meksykańczyk — świadczy o powszechności kultu muzyki Chopina.

1 Węgier — świadczy, że piękne tradycje Liszta nie zamarły jeszcze.

Z niecierpliwością oczekujemy na ostateczne wyniki Konkursu.

*
**

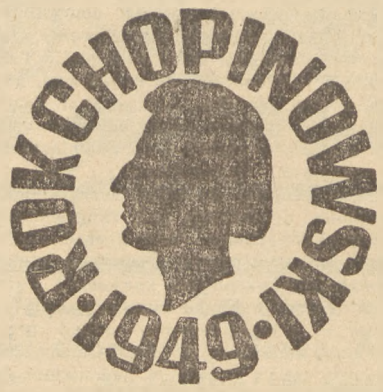

W dniu 29 bm. odbyło się w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej (Konserwatorium) zebranie towarzyskie z udziałem polskich i zagranicznych uczestników IV Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, profesorów i studentów Konserwatorium.

Miłych gości powitał prof. S. Kazuro, rektor Konserwatorium, podkreślając, że uczelnia ta, najstarsza po paryskiej uczelnia muzyczna w Europie, dumna jest z tego, iż miała wśród swych uczniów Chopina.

*
**

Dom, w którym urodził się Fr. Chopin w Żelazowej Woli, odwiedzili w dniu 2 bm. członkowie jury i uczestnicy IV Międzynarodowego Konkursu im. Fr. Chopina.

Tego samego dnia przybyli również do Żelazowej Woli młodzi laureaci rozpisanego przez IFCh. ogólnokrajowego konkursu na najlepsze wypracowanie szkolne o Fr. Chopinie.

Na progu domu powitał serdecznie przybyłych wiceprezes Instytutu Fr. Chopina, prof. M. Kaczorowski. Następnie goście zwiedzili dom i piękny park.

Uroczyste wręczenie nagród laureatom konkursu dla młodzieży szkolnej odbyło się w parku na tle domu, w którym urodził się Fr. Chopin. Do zebranych przemówił wiceprezes Instytutu Fr. Chopina, prof. M. Rytel, podając szczegóły i wynik konkursu.

Na wezwanie IFCh. wpłynęło około tysiąca prac z całej Polski. O Chopinie pisały zarówno dzieci w wieku od lat 7, jak i młodzież do lat 20. Sąd konkursowy przeznaczył do nagrody 17 prac, do wyróżnienia zaś 33 prace.

Nagrody ufundowali m. in. Ministerstwo Kultury i Sztuki, Ministerstwo Oświaty, Instytut Fr. Chopina, ZMP, ZAIKS, ZSCh.

Po przemówieniu prof. Rytla nastąpiło wręczenie nagród młodocianym laureatom. Odczytano również fragmenty niektórych nagrodzonych prac.

Uroczystość uświetnił występ laureata I Międzynarodowego Konkursu im Fr. Chopina, członka jury obecnego Konkursu, Lwa Oborina, który odegrał szereg utworów Chopina.

*
**

Komitet Wykonawczy Roku Chopinowskiego organizuje w Muzeum Narodowym recitale chopinowskie w wykonaniu członków Jury IV Międzynarodowego Konkursu.

Recitale odbywają się w Sali Zamkowej Muzeum Narodowego, 3 razy w tygodniu, we wtorki, czwartki i soboty o godz. 16.

W sobotę 1 października odbył się pierwszy recital w wykonaniu Lwa Oborina (ZSRR).

4.X. grał Frantisek Maxian (Czechosłowacja), 6.X. — Stanisław Szpinalski (Polska), 8.X. — Paweł Sieriebriakow (ZSRR).

*
**

Przybyli z opóźnieniem do Warszawy dalsi członkowie Jury Konkursu, a mianowicie znakomita pianistka francuska Margueritte Long, przewodnicząca Komitetu Roku Chopinowskiego we Francji, Lazare Levy, wybitny pianista francuski, profesor Akademii Muzycznej w Paryżu i Joseph Hirt, pianista szwajcarski, profesor Konserwatorium w Berlinie.

W Sofii powołano do życia komitet dla uczczenia pamięci Chopina w związku ze zbliżającą się setną rocznicą Jego śmierci. W skład komitetu weszli: przewodniczący Prezydium Zgromadzenia Narodowego Bułgarskiej Republiki Ludowej, wiceprezes Rady Ministrów i sekretarz Komitetu Centralnego Bułgarskiej Partii Komunistycznej, min. spraw zagranicznych, min. oświaty, przewodniczący komitetu do spraw nauki, sztuki i kultury oraz przedstawiciele organizacji politycznych, społecznych i kulturalnych. Do Komitetu zaproszony również został Ambasador R. P. w Bułgarii.

W Sofii i w innych miastach kraju odbędą się koncerty poświęcone twórczości Chopina.

Dnia 17 października, w rocznicę genialnego kompozytora, w sali koncertowej „Bułgaria" odbędzie się uroczysta akademia poświęcona pamięci Chopina.

Sztuka filmowa we Włoszech

(Dokończenie ze str. 4)

r. 1933/34: 30 filmów z tych 5 w Berlinie

r. 1934/35: 32 filmy,

r. 1935/36: 36 filmów, z tych 6 za granicą.

W Libii nakręcono „Biały szwadron" reż. Genina i Garibaldi - Blasettiego.

Reżyser Carmine Gallone zasygnalizował powrót do typu filmów monumentalnych i nakręcił „Scypiona Afrykańskiego". Był to film z czasów wojen punickich, bardzo podobny do słynnej „Cabirii". Dekoratorzy zrekonstruowali Senat Rzymski, Forum, ożyły legiony Scypiona, galery... Do scen batalistycznych zmobilizowano 50 tysięcy piechoty 4000 kawalerii, 60 słoni. Dwa tysiące aktorów i statystów brało udział w filmie. Realizacja trwała osiem miesięcy. W potyczkach i bitwach poraniono rzeczywiście tysiąc kilkaset osób. Film ten jednak mimo swych pozorów prawdziwości historycznej był politycznym usprawiedliwieniem napadu na Abisynię i przepełniony zupełnie jednoznacznymi aluzjami politycznymi. Te ostatnie przesądziły o jego powodzeniu. Zamierzone dzieło sztuki stało się propagandówką w złym stylu. Efekty kasowe — nawet we Włoszech były bardzo mizerne.

Nie pomogły miliony nie pomogły środki techniczne — Gallone nie krępowany tylko w rozmiarach dzieła, lecz całkowicie zakneblowany w możliwości wypowiedzi artystycznej i ideowej sfabrykował kolosa bez sensu, ducha i ziejącego przeraźliwą pustką ideową i artystyczną.

W sezonie 1937—38 ukazało się w Rzymie dwieście trzydzieści pięć filmów: 150 amerykańskich, 33 włoskie, 22 francuskie, 14 angielskich, 13 niemieckich, 2 austriackie.

W roku 1937 o dziesięć kilometrów od Rzymu wybudowano według najnowszych wymogów techniki miasto filmowe tzw. Cinecitta.

Festival filmowy w Wenecji zapoczątkowany w r. 1932 od 1935 odbywał się już corocznie. Organizator festivalu hr. Volpi dbał nie tyle o wartość artystyczną ile o efekty bardziej namacalne, tzn. gospodarcze ściślej mówiąc traktował całą imprezę z punktu widzenia narodowego przemysłu włoskiego, znajdującego się w rękach czołowych osobistości reżimu faszystowskiego i ciągnących z niego ogromne dywidendy. Pod tym względem festival swoją rolę odegrał. poza tym z roku na rok zmieniał się coraz bardziej w tubę propagandy faszystowskiej. Na rok przed drugą wojną Anglia Francja i Ameryka nawet postanowiły się wycofać z udziału. Dopiero w ostatniej chwili decyzję tę cofnięto nb. z winy Anglii.

Wielkim „mecenasem" filmu okazał się syn Mussoliniego, Vittorio.

Pomysły jego w rodzaju ograniczenia praw krytyków filmowych wywołały nowy chaos w produkcji filmowej.

Duce w r. 1938 powierzył monopol importu filmowi państwowemu E.N. I.C. W odpowiedzi na to — Paramount, Metro Goldwyn - Meyer, Warner i Fox zamknęły swe reprezentacje we Włoszech.

Wskutek tego zatargu Amerykanie wycofali swój udział w Festivalu weneckim.

W okresie wojennym Cinecitta rozwinęła gorączkową działalność produkując filmy w wersjach i ramach umów francusko - włoskich i niemiecko - włoskich oraz stuprocentowo włoskie. Cinecitta miasteczko filmowe pod Rzymem zbudowane za pieniądze ze społecznych kas oszczędności, czy emerytalnych, wreszcie z „funduszu daru narodowego weteranów I wojny światowej", luksusowo wyposażone w urządzenia techniczne stała się tanim kosztem bazą międzynarodowych koncernów naprzód niemieckich, a następnie po wojnie amerykańskich. Zajęte przez wojska okupacyjne amerykańskie jest obecnie oddane do dyspozycji fabrykantów hollywoodzkich. Niezmordowany i niewyczerpany Blasetti zrealizował „Żelazną koronę" na tle dziejów Bizancjum film o wspaniałej wystawie, lecz naiwny i tanio - sensacyjny. Pewne fragmenty przypominały typ amerykańskiej burleski. Nastąpił teraz dla filmu okres niebezpiecznej artystycznie łatwizny i kompromisu.

Zrealizowano: „Narzeczonych" Cameriniego, „Dwie sieroty" — reż. Gallone, „Cavaleria rusticana' reż. Palermi, „La Fornarina" reż. Gazzoni, „Czarny Rycerz" reż Bonnarda, „Manon Lescaut" reż. Gallone i w. in. Reż. Victor de Sica. „Dzieci patrzą na nas". Bardzo charakterystycznym dla klimatu faszystowskiego była stosunkowo duża liczba filmów o tematyce wojennej — propagujących imperializm. Najwybitniejsze były: „Kadeci Alkazaru" (wojna domowa w Hiszpanii) reż. Genina, „Biały statek" reż Rossellini „Ukrzyżowany człowiek" „Pilot powrócił" — również Rosselliniego oraz kilka filmów anty - radzieckich m. in. „Krwawe horyzonty" i „Odessa w płomieniach" reż. Alessandrini.

Praca realizatorów nad tego typu tematami, będącymi zaprzeczeniem nie tylko zdrowego rozsądku, lecz i najelementarniejszych nakazów humanitarnych była istnym koszmarem.

Światło ekranu ujrzały filmy o kampanii abisyńskiej i greckiej: „Benghasi", reż. Genina. Djaraboub reż. Alessandrini „Trzystu z 7 pułku". Aktorska strona filmu włoskiego również uległa radykalnym zmianom. Aktorzy mianowicie i realizatorzy poczęli się wzorować na modelach hollywoodzkich. Efekt był jak najgorszy, tym więcej, że nie odpowiadał charakterowi tradycyjnego typu gry włoskiej.

Porozumienie francusko - włoskie umożliwiło w czasie wojny reżyserom francuskim stworzenie prawdziwych arcydzieł filmowych, jak np.: „Carmen" i „Visiteurs du soir" (Wieczorni goście), reż. Marcel Carne.

Gdy Badoglio podpisał zawieszenie broni z aliantami w r. 1943 Niemcy usiłowali przenieść centrum przemysłu filmowego do Wenecji. Przewieziono znaczną część sprzętu technicznego, jednak tylko nieliczni filmowcy zdecydowali się na tę przeprowadzkę Film włoski zapadł w letarg, gdyż działalność nowego ośrodka była z wielu zrozumiałych przyczyn mocno ograniczona.

Po wyparciu Niemców z półwyspu Cinecitta, powierzchownie tylko uszkodzona nalotami, służyła jako obóz jeńców niemieckich, następnie koszary wojsk okupacyjnych amerykańskich.

Po ostatecznym upadku reżimu faszystowskiego we Włoszech ukonstytuowały się dwie wytwórnie (nb. świetnie prosperujące finansowo w „erze faszyzmu" „F.E.R.T." i La Scalera oraz kilka mniejszych).

Wolnym oddechem chwilowo wyzwolonej sztuki włoskiej były filmy o wojnie i o włoskim ruchu oporu, a więc: „Monte Cassino", „O sole mio", „Dwa anonimy", „Jeden dzień życia", o księżach rozstrzelanych za udział w partyzantce i „Słońce wschodzi", reż. Aldo Vergano, którego przeszłość polityczna i patriotyczna była bez zastrzeżeń.

Roberto Rosselini stworzył dwa filmy o bardzo ciekawej koncepcji artystycznej, zwanej (słusznie czy niesłusznie) neorealizmem: „Rzym miasto otwarte" i „Paise". Jego kolega zaś Victor de Sica — „Sciuscię" — film społeczny o nędznych czyścibutach włoskich. Filmy te były wielokrotnie przedmiotem krytyk u nas — pozostawiam więc wszystkie bez komentarzy. Podjęto produkcję słynnych powieści, m. in. „Córka kapitana" i „Czarny orzeł Puszkina", „Nędzników", „Sen nocy letniej". Otello Giuseppe della Torre — dyrektor „Osservatore Romano" z ramienia państwa watykańskiego, stanął na czele wytwórni katolickiej, mającej na celu w pierwszym rzędzie „wielką dokumentację" katolicką.

Zrealizowano nową wersję „Pastor Angelicus" (o życiu Papieża Piusa XII), uzupełniając ją wizytami Chamberlainea, Churchila i de Gaulle'a w Watykanie (zdjęcia dokumentarne).

Doroczne Festivale weneckie, zostały wznowione, jedynie tylko imiona ofiarodawców nagród zmieniły się, co jest zupełnie zrozumiałe. Ponieważ połowa wytwórni była nieczynna, przypuszczano, że możliwości poprzedniej produkcji przekraczają chłonność rynku. Przemysłowcy włoscy wobec tego nawiązali kontakt z zagranicą i m.in. podpisano umowę o współpracy z Francją w r. 1946. Realizatorzy francuscy nakręcili we Włoszech szereg filmów, m.in. „Taniec śmierci", reż. Craven ne, „Piękne dni króla Muata" (Neapol), reż. Teophil Pathe, „Rocambole", Daroncelli, „Pustelnia parmeńska" (La chartreuse de Parme), reż. Christian Jacques. Ostatnio weszła na ekrany „Fabiola" z Michel Morgan (IV wiek p.n. Chrystusa), a obecnie Rene Clair kończy w Rzymie swój film pt. La beaute di Diable (Faust łaciński).

O ile umowę z Francją można było uważać za korzystną obustronnie, o tyle ze Stanami Zjednoczonymi była wprost katastrofalną, gdyż umożliwiała swobodną penetrację produktów (niezawsze pierwszej jakości) Hollywoodu i obniżała wybitnie podatki od filmów dublażowych.

Film we Włoszech został w tej chwili opanowany przez Stany Zjednoczone. Już powstały dwie wytwórnie amerykańskie. Jak sprawy potoczą się dalej, trudno prorokować, jednak przejrzawszy choćby tak pobieżnie, jak w tym artykule bardzo dziwne drogi, którymi kroczy od początku film włoski, należy się raczej spodziewać powrotu z jednej strony do dawnych tradycyjnych filmów, z drugiej „skolonizowania" rynku włoskiego przez dyktatorów amerykańskich, czego już mamy pierwsze oznaki.

Nie poddawajny się więc ani fali zachwytów i proroctw, ani też dyskryminowaniu tych czy innych wytworów włoskiej sztuki filmowej, gdyż sytuacja obecna w żadnym wypadku nie może być uważana za normalną i film włoski sprawi nam jeszcze wiele dziwnych niespodzianek.

B i b l i o g r a f i a:
Emilio Ghione — Le cinema italien.
Cauda Ernesto — Il film italiano.
Eugenio Ferdinado. Vecchio cin. it.
M. Lapierre. Les cents visages du cinema.

Kazimierz Wołkowicz

Czytelnik uważa, że...

NAD SFAŁSZOWANYM TEKSTEM

Przed wojną ukazała się tendencyjna broszura dra Z. Mierzyńskiego, traktująca o Teologii Moralnej św. Alfonsa Ligouri. Broszura była odbitką artykułów poprzednio opublikowanych przez autora w Wolnomyśliciela. Pod adresem owych artykułów wysunął szereg bardzo poważnych zarzutów ks. dr K. Gołębiewski w Przeglądzie Katolickim Nr 2 i 3 1936 r. Ponieważ oddzielnie wydana odbitka nie zawiera żadnych zmian z wyjątkiem dodania kilku tekstów łacińskich, jak to skonstatował ks. Gołębiewski, więc wspomniane zarzuty dotyczą również i broszury.

Ks. Gołębiewski zestawia cytaty łacińskie, przytoczone przez Mierzyńskiego z cytatami wyjętymi z oryginału i stwierdza szereg zmian, nieraz zniekształcających sens zdań do tego stopnia, że te ostatnie stają się antytezą twierdzeń, wypowiedzianych w dziele oryginalnym. Następnie polemista z Przeglądu Katolickiego zauważa szereg opuszczeń, a zwłaszcza pomijanie tych wypowiedzi, które zawierały osobiste poglądy św. Alfonsa, zazwyczaj podawane przez autora „Teologii Moralnej" po uprzednim zreferowaniu tez innych moralistów. Jeden cytowany przez Mierzyńskiego fragment, rzekomo mający się znajdować we wspomnianym dziele św. Alfonsa, faktycznie nie figuruje tam wcale. W ten sposób na rachunek świętego szły opinie, wypowiadane przez innych autorów albo też nie wypowiadane przez nikogo, a sztucznie spreparowane przy pomocy takich praktyk, jak pomijanie negacji czy przefasonowywanie „mortale" na „morale", co powodowało, że z grzechu śmiertelnego robił się czyn moralny.

Co się tyczy polskiego przekładu, ks. Gołębiewski wykazał, że autor broszury nie zawsze zdaje sobie sprawę ze znaczenia łacińskich terminów, wskutek czego niefortunny tłumacz powypisywał różne okropności, mające być rzekomo poglądami św. Alfonsa.

Na takie sfałszowanie tekstu złożyły się różnorodne względy. Najniewinniejsze z nich to: nieznajomość oryginalnego źródła, nieopanowanie łacińskiego słownictwa i łacińskiej składni.

Owa broszura ostatnio wpadła w ręce autora artykułu pod tyt. „Moralność świętego doktora" (Kuźnica Nr 35). Autor artykułu B. Dudziński daje wyraz swemu oburzeniu z powodu niemoralności zasad „Teologii Moralnej". Zdenerwowaniu autora nie ma się co dziwić, zważywszy że lektura owych niestworzonych potworności musiała pozostawić wyjątkowo przykry niesmak. Co najwyżej można autorowi złożyć kondolencje z tego powodu, że padł ofiarą mistyfikacji.

Przechodząc do porządku nad cytowanymi przez B. Dudzińskiego fragmentami, które jako że nie są tłumaczeniem autentycznego tekstu, nie mają przeto żadnej wartości dowodowej dla zarzutów, wysuniętych przez autora, trudno pominąć te insynuacje, które usiłują rzucić cień na świętość twórcy „Teologii Moralnej".

B. Dudziński gorszy się faktem, że św. Alfons Ligouri (Panie zecerze, proszę uważać. Niech Pan przypadkiem nie przestawi litery „u" do góry nogami, jak to się zdarzyło Kuźnicy.) posiadał w zakresie spraw seksualnych obszerną wiedzę, którą autor ocenia jako głęboką i wszechstronną. (Mówiąc nawiasem taka ocena ze strony przeciwnika może katolikom pochlebiać. No! No!... Proszę... Kto by przypuszczał, że przedstawiciel Kościoła, tego Kościoła, który jakoby sprawy seksualne traktuje z histeryczną niemal pruderią, posiadał w tej dziedzinie wiedzę tak rozległą, że w porównaniu z nim nowocześni seksuologowie, jak Magnus Hirschfeld, Krafft Ebing, Van der Velde to „szczeniaki").

Zarzut drastyczności trafia w próżnię. Jeśli św. Alfons z zawodu zajmował się kazuistyką moralności katolickiej, czyli zastosowaniem ogólnych zasad tej moralności do konkretnych przypadków, musiał on rozważać zagadnienia związane z wszelkimi rodzajami ludzkiej działalności. W tym nie ma nic nagannego. Podobnie nikt nie gorszy się faktem, że sędzia wie o istnieniu różnych rodzajów przestępstw, że musi rozstrzygać problem, czy dany postępek podpada pod pojęcie określonego przestępstwa, że czyta książki na ten temat, że ktoś te książki pisze etc.

Tę wyżej wspomnianą wszechstronność wiedzy św. Alfonsa w dziedzinie spraw seksualnych B. Dudziński próbuje wytłumaczyć na niekorzyść autora „Teologii Moralnej", gdy przytacza fakt, że święty był dręczony przez pokusy nieczyste.

Tak wygląda, jakby autor chciał naprowadzić czytelnika na domysł, że św. Alfons odznaczał się perwersyjnym zainteresowaniem dla spraw płci. Taki domysł jest całkiem bezpodstawny, gdy się zważy, że św. Alfons znał swoje obowiązki (twórca wielotomowego dzieła z zakresu etyki!) i że obowiązki te wykonywał (kanonizowany święty!). Przypuszczenie, że mógł żywić niedozwolone upodobania jest fantastycznie nieprawdopodobne. Aby ocenić absurdalność tej hipotezy wystarczy nawet dosyć powierzchowna znajomość katolickiej etyki. Etyka katolicka jest tak wysoce wysublimowana ponad przyziemny hedonizm, że jeżeli może być w niej mowa o jakimś hedonizmie, to jedynie o — jeśli się tak wolno wyrazić — hedonizmie Boga. Wszelka przyjemność jest wartością etyczną, o ile w niej się odzwierciedla Boska szczęśliwość. Ludzkiemu szczęściu ma towarzyszyć świadomość, że jest ono prezentem Boga, prezentem, którego nie powinno się natychmiast chwycić i uciec, ale przedtem wypada powiedzieć „dziękuję". (Tylko złodzieje nie składają wyrazów wdzięczności.) O sięganiu po jakąkolwiek przyjemność niezgodną z zamiarami Bożymi nie może być mowy. Wtedy człowiek ryzykowałby znalezienie się poza granicami dobra, światła, łaski, gdzieś w ciemności, w królestwie grzechu. W katolicyzmie kładzie się taki nacisk na bezinteresowność, na kultywowanie postawy takiej, aby człowiek nie połakomił się nigdy na rzecz nie swoją, na przyjemność, do której nie ma prawa, że trudno przypuścić, aby jako tako konsekwentny katolik pozwalał sobie na wykroczenia w tym kierunku i był mniej uczciwym od kasjera, któremu ani się śni uszczknąć coś z powierzonych mu pieniędzy, czy mniej posłusznym od tresowanego psa, który służąc na dwóch łapkach, z kawałkiem cukru na nosie, nie ruszy przysmaku, zanim nie spostrzeże przyzwalającego gestu właściciela.

A święty Alfons był katolikiem konsekwentnym aż do świętości.

Podejrzenie o perwersję nie ma realnych podstaw. Fakt, że św. Alfons był dręczony pokusami, nie rzuca cienia na jego dobrą sławę. W katolicyzmie tak dobitnie jest przedstawiony dualizm woli i niezależnej od niej pokusy, że św. Alfonsa wcale nie dyshonoruje to, iż doznawał pokus, tak jak nie przynosiłoby mu ujmy odkrycie, że chorował na serce, wątrobę, płuca, miał podwyższone ciśnienie krwi, przyspieszone tętno itp.

Przy woli skierowanej na dążenie do świętości pokusa nie jest hańbą, ale czymś, co zakwalifikować można do kategorii cierpień, jest czymś niemal że zewnętrznym i czymś, co nie pogrąża człowieka w tortury niesławy bezwstydnika, ale przeciwnie — honor triumfatora ozdabia nowym blaskiem. Symbolem tej sytuacji może być scena, którą opisuje Dobraczyński w powieści „Dwa stosy". Zanim zacznie płonąć ciało Joanny, podejdzie oprawca i podpali jej suknię. Pozostawiając wobec widzów egzekucji Joannę nagą, oprawca sądził, że pogrąży ją w bezmiarze upokorzenia. Pomylił się. Nie upokorzył jej wcale. Wymowa obrazu nagiej męczennicy na stosie była tylko taka: — Mam ciało.

Upokorzenie — obojętne czy przyszło od wewnątrz jako pokusa, czy z zewnątrz — dodaje jasności aureolom świętych.

Maria Budzanowska

MOJE PRZEWINIENIE I NIEPRZEWINIENIE

Drogi Redaktorze!

Muszę się bronić. Z „atakującego" stałem się atakowanym. A właściwie to przez Pana, Redaktorze, bo wypowiedź mą pt. „Katolicyzm pogodny" (będącą krytyką recenzji książki „Klucze Królestwa" Cronina, jaką zamieścił p. J. M. Święcicki pt. „Ryzykowna symbioza" w nr 3 (684) „Przeglądu Powszechnego") umieścił Pan w n-rze 184 „Dziś i Jutro", jako artykuł, a nie — jak proponowałem — w rubryce „Czytelnik uważa, że...", co nadałoby jej nie co inny charakter.

Chcąc bowiem odeprzeć pewne zarzuty, wysunięte w replice p. Święcickiego („Przegląd Powszechny" nr 9 (690) — wrzesień 1949 — artykuł pt. „Na marginesie katolickiej krytyki") muszę przede wszystkim wyjaśnić, iż „Katolicyzm pogodny" był wypowiedzią zwykłego, szarego czytelnika, a nie krytyka — takiego czy innego rodzaju. W związku z tym zresztą od razu też oświadczam, że nie mam najmniejszej pretensji do p. Święcickiego, gdy twierdzi: „Nie mogę się dopatrzyć racji, dla której miałbym koniecznie uznać autorytet zgoła mi nieznanego autora, który w dodatku nie myślał ujawnić swego nazwiska. Zapewniam p. d. s., że moja recenzja spotkała się z uznaniem ze strony osób, których wysokie kwalifikacje, tak osobiste, jak i naukowe — myślę tutaj o wykształceniu teologicznym — są powszechnie wysoko cenione...". Na licytowanie się autorytetami jednak trudno mnie będzie namówić, a jeśli chodzi o nazwisko to też z miejsca wyjaśniam, że ono nic by nie powiedziało — ot, powtarzam, jeden z wielu czytelników i „Przeglądu Powszechnego" i „Dziś i Jutro". Spieszę wyjaśnić to co rychlej, nie chciałbym bowiem, ażeby doszło do dyskusji w rodzaju toczonej swego czasu na łamach „Dziś i Jutro" przez p. p. Kisielewskiego i Głownię (zakończonej zresztą przed paroma tygodniami krew mrożącym spotkaniem obu — nie znających się dotąd — panów).

A więc ustalmy — wypowiedź pt. „Katolicyzm pogodny" była reakcją czytelnika książki „Klucze Królestwa" Cronina, który uważał krytykę tej książki przeprowadzoną przez p. J. M. Święcickiego w artykule pt. „Ryzykowna symbioza" za krzywdzącą. Za krzywdzącą c z y t e l n i k a, a nie autora, jak to zupełnie niesłusznie sugeruje mi teraz p. Święcicki (na jakiej podstawie — nie wiem. Wniosek taki dał autorowi sposobność napisania dłuższego wywodu na temat celowości „oszczędzania" autora, ale nie był usprawiedliwiony tekstem mej wypowiedzi). Pisałem: „Ktoś, kogo by zgorszyły „Klucze Królestwa" w wypowiedzi jego (tj. p. Święcickiego — przyp. m.) znajdzie jedynie pogłębienie swego zgorszenia i współtowarzysza w nim. A może lepiej byłoby dać mu ortodoksyjnie katolicki klucz do zrozumienia „Kluczy Królestwa". — Moja wypowiedź zmierzała więc do wykazania, że można książkę tę, pewne zawarte w niej myśli ujrzeć w mniej „gorszącym" świetle, że — nawet — ja np. oceniam ją ostatecznie jako całość pozytywnie i dlaczego. To, że również widzę w „Kluczach Królestwa" p e w n e wypowiedzi błędne z punktu widzenia doktryny katolickiej, określa p. Święcicki w swym ostatnim artykule, jako „niewyrobione zdanie", „przeczenie sobie", jako brak logiki. Myślę, że zaszło tu jakieś pomięszanie pojęć. Dlatego, gdy p. Święcicki pisze: „Starałem się uzasadnić, że pewne tendencje Croninowej powieści są nie do przyjęcia, i nie widzę żadnego argumentu, który by mnie zmusił do zmiany stanowiska, krom autorytatywnego orzeczenia p. d. s.", mogę tylko przeprosić, że i ja r ó w n i e ż uważam, iż niektóre z kwestionowanych przez p. Święcickiego tendencji są nie do przyjęcia. Dziwię się jednak, że nie zauważył On, iż główna myśl mej wypowiedzi (autorytatywność jej przede mną odkrył p. Święcicki dopiero) zawarta była w ostatnio cytowanym z niej zdaniu i dlatego też argumentacja polegała na wykazaniu niesłuszności n i e k t ó r y c h z zarzutów i na poddaniu niektórych w wątpliwość bez puszczania się zresztą na argumentację teologiczną, do czego nie czułem się powołany.

Zgadzam się z p. Święcickim (za co s już z góry przepraszam), iż czytelnicy „potrzebują... koniecznie tego, aby ich wszestronnie, jasno i bezkompromisowo informować", miałem (i mam) jednak obawy, czy spełnia to zadanie przesadne — moim zdaniem — podkreślanie negatywów, doszukiwanie ich się tam nawet, gdzie wypowiedź można rozumieć „prawowiernie" po katolicku.

I wreszcie dwa ostatnie zarzuty. Jeden — jedyny z siedmiostronicowej wypowiedzi p. Święcickiego — uznaję za słuszny i biję się w piersi. Rzeczywiście mogłem odmówić sobie „przyrównywania aniołów". Choć charakterystyka dwóch życiowych postaw katolików, przeprowadzona przez Cronina przy pomocy ich aniołów, jest bardzo pomysłowa i dowcipna, nie nadawała się — przyznaję — do użycia jako moment polemiczny. Na usprawiedliwienie (zdaję sobie sprawę, iż niewystarczające): złośliwość była drobna i nie obraźliwa. Poza tym sądzę, iż „poklepywanie po ramieniu" zastosowane względem mnie w replice p. Święcickiego, wyrównuje nasze „rachunki" na tym polu.

Stanowczo jednak protestuję przeciw zarzutowi użycia nielojalnego chwytu przez powołanie się w trakcie mej argumentacji na wypowiedź ks. Administratora B. Kominka (zawartą w artykule pt. „Umiar w Kościele", drukowanym swego czasu w „Tygodnik Powszechnym"). P. Święcicki pisze: „Wystarczy jednak przeczytać sumiennie wspomniany artykuł, aby się przekonać, że autor cytuje tam poczytność „Kluczy Królestwa" jako wyraz tendencji zmierzających „do domagania się reform i pogłębienia życia kościelnego" w niezawsze roztropny sposób, skoro je cytuje obok takich oznak, jak np. „Zakon Miłości" Kordiasza, czy różne rozpowszechniane wizje i objawienia" (zdanie zresztą niezbyt jasne). A teraz pozwolę sobie przypomnieć, jak wyglądało moje powoływanie się na wypowiedź ks. Administratora. Napisałem: „Ks. Bolesław Kominek... wymienia jako jeden z przykładów chęci reform, pogłębiania życia kościelnego „Klucze Królestwa" Cronina", ...które to dzieło o bardzo szlachetnych zamiarach przedstawia nam głównego bohatera jako postać o największym napięciu miłości bliźniego, ale niedocenianą, a nawet krzywdzoną przez Kościół „oficjalny". Dalej pisałem (podkreślenia moje wprowadzone obecnie): „W dalszym ciągu artykułu ks. B. Kominek pisze o tego rodzaju dążeniach: „Uważam, że nie należy ludzi dobrej — nieraz może i nawet najlepszej — woli o d r a z u o d s ą d z a ć o d w i a r y, w c z a m b u ł p o t ę p i a ć i w y k l i n a ć. Raczej przeciwnie: Bogu dzięki, że są wśród nas, wśród członków Kościoła tęsknoty i pragnienia za Kościołem jeszcze lepszym i bardziej świętym, takim, o jakim wspomina św. Paweł w liście do Efezów: „bez zmazy i zmarszczki, święty i bez plam". Czy takie wybranie cytatów z artykułu „Umiar w Kościele" może być uważane za chęć powoływania się na wysoki autorytet w obronie tez książki, nawet — czy było sprzeczne z podanym wyżej komentarzem p. Święcickiego?! Przecież tu wyraźnie nie chodziło już o obronę samych „Kluczy Królestwa" (kwestię tę zakończyłem w poprzedniej części artykułu), a jedynie o kwestionowaną przeze mnie celowość potępiania w czambuł, wyklinania — co było, jeszcze raz przypominam, zasadniczą kwestią mej wypowiedzi. W tym jedynie celu pozwoliłem sobie — w najlepszej wierze — na powołanie się na wypowiedź ks. Administratora.

Toteż zgadzając się z p. Święcickim, iż „nie ulega chyba wątpliwości, że w dyskusji między pisarzami katolickimi nie powinno się używać nielojalnych chwytów", nie bardzo rozumiem, czy zrobienie mi (w zdaniu następującym po tym stwierdzeniu) bardzo poważnego zarzutu w związku z zacytowaniem ks. Admin. Kominka polegało na nieporozumieniu, czy było nie bardzo chrześcijańskim i nie bardzo współmiernym odwetem za „aniołów", czy może wyrazem zakusów na monopol, gdy idzie o prawo powoływania się na autorytety. Poza tym, gdybym był wielkim rygorystą, mógłbym mieć pewne wątpliwości, czy sposób zacytowania w artykule „Na marginesie katolickiej krytyki" paru z moich zdań był zupełnie „poprawny".

Pozwoli Pan, Panie Redaktorze, że nadal będę się podpisywał

d. s.

PURYTANIE CZYLI LIST W SPRAWIE KISIELA

Rubryka „Czytelnik uważa, że..." w zacnym „Dziś i Jutro" jest niewątpliwie trybuną polskich purytanów. Najbłahszy dowcip, najmizerniejsza iskierka humoru wywołuje z ich strony dłuższe, katońskie tyrady, potępiające „nieprzyzwoitość" człowieka, który ośmielił się gdziekolwiek i o czymkolwiek wyrazić z uśmiechem. Biada zaś tym, którzy parają się felietonem. Nie wydaje się to zresztą dziwne, zważywszy, że naczelnym bohaterem tej rubryki jest pan Zygmunt Jakimiak, którego osobliwe wywody (ostatnio o sztuce kościelnej) stanowią nienotowaną w dziejach rewelację. Inną znów sprawą jest, że takiż purytanizm w poważnym stopniu przysłużył się kulturze, co każdy sprawdzić może poznając przyjęcie Oskara Wilde'a przez wiktoriańską krytykę angielską.

Podobnie ma się rzecz z Kisielem. Taki los już mu zgotowany, że w każdym niemal numerze „Dziś i Jutro" ostatnie szpalty dźwigające wiekopomne wypowiedzi purytańskich czytelników tego pisma aż jęczą pod ciężarem ataków na „niepowagę" i „niemoralność" najzdolniejszego współczesnego felietonisty polskiego, o którym niedawno w tymże „Dziś i Jutro" tak trafnie i z takim uznaniem pisał p. Zygmunt Kubiak.

Taki ostatecznie purytanizm jest psychologicznie do wytłumaczenia. Gorzej, kiedy mamy do czynienia z purytanizmem intelektualnym, zabarwionym fanfaronadą (vide 199 nr „Dziś i Jutro" — notka p. Jacka Szarzyńskiego). Autor tej wypowiedzi bowiem nie zdradza specjalnych wiadomości o wymogach felietonu, ani też nie znać po nim, by słyszał kiedykolwiek o celowym stosowaniu paradoksu. Nic mu to jednak nie przeszkadza potępiać jeden z najlepszych felietonów Kisiela („Specjaliści proszą o względy" — „Tyg. Pow." nr 233) za „formalizm" w imię zupełnie specjalnie pojętego ideału „sztuki uspołecznionej". Felietonu Kisiela bronić nie mam zamiaru — mówi on sam za siebie, a jak — o tym najlepiej świadczy fakt, że nawet Kandyd w „Kuźnicy" (nr 209), w swej odpowiedzi - wyjaśnieniu o swobodzie twórczej artysty należycie go zrozumiał. P. Jacek Szarzyński ze swoim tromtadrackim votum separatum jest w tym wypadku jeszcze godniejszy zastanowienia, niż „camerzysta" z „Odrodzenia" (nr nr 249 i 252), po których próbkach „humoru" i swoiście pojętej „satyry" nikt chyba w Polsce nie spodziewa się wiele.

Wacław Sadkowski

P. S.

Z niepokojem oczekuję, iż pan Szarzyński, w dalszym ciągu stosując swą naprawdę odkrywczą metodę naświetli odpowiednio w następnych „głosach czytelniczych" inne przejawy „trywialnej literatury". Osobiście gorąco polecam znów Anglików: Gilberta Keith Chestertona i — sięgając w godnej uwagi krucjacie przeciw grzesznemu paradoksowi głębiej w mroki historii — Tomasza More'a.

W. S.

**
*

Jest chyba truizmem twierdzenie, że człowiek, który chce upowszechniać kulturę, musi sam pewną kulturę posiadać. Okazuje się jednak, że nie zawsze jest to konieczne. Trzeba mieć tylko dużo tupetu. Chcecie przykładu? Weźcie do ręki 39 (218) numer tygodnika „Wieś", a przekonacie się sami. Niejaki pan A. W., jeden z najpilniejszych czytelników prasy katolickiej, zabiera głos w toczonej od pewnego czasu na łamach „Dziś i Jutro" i „Słowa Powszechnego" dyskusji o sztuce religijnej.

Ale zacznijmy od początku.

W numerze 36 (198) „Dziś i Jutro" w rubryce „Czytelnik uważa, że..." został wydrukowany bardzo ciekawy i rozsądny list Z. Gajdaja, w którym autor pisał m. in. o konieczności zwrócenia uwagi na popularną literaturę dewocyjną, która często jest na niskim poziomie. „Należało by — pisze Z. Gajdaj — ograniczyć wydawanie broszur dewocjonalnych, których treść niemal od średniowiecza nie ulega zmianie. Instytucje katolickie wydają tyle pięknych i pełnowartościowych książek. Należy dbać, by te właśnie wydawnictwa stały się jak najdostępniejsze". Pan A. W. cytuje pierwsze zdanie tego tekstu (pomijając drugie i trzecie) i czyni sobie z niego odskocznię do niesmacznego, czysto demagogicznego ataku na prasę katolicką. Wszystko można by ścierpieć, ale trudno patrzeć spokojnie na to, jak pan A. W. przekręca sens wypowiedzi zamieszczonej na łamach „Dziś i Jutro", aby uzyskać przez to efektowne zakończenie swojej noty zawartej w zdaniu: „W całej tej dyskusji niezmiernie charakterystyczny jest głos katolickiego pisma, domagającego się ograniczenia zbytnio rozplewionej, ogłupiającej i średniowiecznej literatury dewocyjnej".

Dla pana A. W. „średniowieczny" jest synonimem do „ogłupiający"... Cóż na to poradzić... Ale wracajmy do tematu. Publicysta „Wsi" zapytuje autora listu „Dziś i Jutro", czy on naprawdę nie rozumie, że (tu cytujemy) „te, jak słusznie sam zauważył, średniowieczne pisemka w rodzaju „Niedzieli", czy „Rycerza Niepokalanej", są narzędziem otumanienia" itd. itd.

Otóż proszę pana A. W. — po pierwsze: w liście drukowanym w „Dziś i Jutro" nie było wcale mowy ani o „Niedzieli", ani o „Rycerzu Niepokalanej", ani o żadnym innym czasopiśmie katolickim. To, co Pan napisał, niezbyt dobrze świadczy o Pana uczciwości i kulturze.

Jacek Szarzyński

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto PKO — Nr I-727.
Wydawca: Kolegium Redakcyjne
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.
Druk. Skolimowska 5.
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.
B-88840